

Rok XXIV

Nr e-4 (238)

Kwiecień 2010

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



ODDZIAŁ WROCŁAWSKI PTTK ZAPRASZA NA WYCIECZKĘ

LITWA ZACHODNIA

24.05.2010 – 30.05.2010



**MARIAMPOL – RUMSZYSZKI – KOWNO
– REZYDENCJE NADNIEMEŃSKIE
– TAUROGI KŁAJPEDA – MIERZEJA KUROŃSKA
– POŁĄGA – KRETYNGA – PŁUNGIANY
– TELSZE – SZAWLE–SZADÓW – BAJSOGALA
KIEJDANY – KOWNO**

**BORT Oddziału Wrocławskiego PTTK, Rynek-Ratusz 11/12
tel. 71 344-39-23, 71 34-383-31,
e-mail: przewodnicy@pttk.wroclaw.pl, bort@pttk.wroclaw.pl**

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

SPIS TREŚCI

Z naszego regionu

- Osobliwy obyczaj PRANDIUM - *Anna Oryńska* 4
 Szlak Starej Wody w Wałbrzychu (3) - *Wojciech Tumidajewicz* 5
 Ogród Japoński we Wrocławiu - *Zofia Haładewicz* 7
 Pałki z Kobiałki - *Jerzy K. Bieńkowski* 10
 Kajakiem po Nysie Kłodzkiej - *Tomasz Pacholec* 12
 Wzdłuż Odry między Głogowem a Wrocławiem - *Krzysztof R. Mazurski* 14

Ojczyste szlaki

- Dolina Popradu - *Wrzesław Mechto* 17
 Poeci rodzą się w Nowogrodku (1) - *Marian Pacholak* 19
 Piramida w Rapie - *Krzysztof Tęcza* 20
 Sudety za miedzą - *Radosław Jan Tokarz* 21

Trasa miesiąca

- U źródeł Strzegomki - *Bartosz Skowroński* 22
 „Łużyckie wędrówki” - zaproszenie na Rajd 23

Globtroter

- Tajga Uralu - *Janusz Fuksa* 24
 Gandawa - *Tobiasz Lemański* 27

Z turystycznych kręgów

- XXV lat KG „SKORUSZA” - *Eliza Bator* 30
 Komunikat specjalny nr 63 - *Andrzej Scheer* 31
 Spotkanie w schronisku „Jagodna” - *Redakcja* 32

Poradnik turysty

- Idzie wiosna - szukajmy kondycję i sprzęt - *Juliusz Wystouch* 33

Na kolekcjonerskim szlaku

- Magiczna moc pieczętek - *Bogumił R. Korzeniowski* 35
 Park Narodowy Ujście Warty 36

Sylwetki „Na Szlaku”

- Honorowy - Wrocławianin, Dolnoślązak - *Wojciech Radliński* 37

Recenzje, nowości

- Marginalia do książki o Orłowiczu - *Krzysztof R. Mazurski* 38

Listy, opinie, dyskusje

- Powinności krajoznawców w kształtowaniu
 tożsamości narodowej i regionalnej - *Ryszard Wrzosek* 39
 Rowerem wzdłuż jeleniogórskich rzek? - *Krzysztof Pik* 40

Na okładce: Tatry. Fot. Piotr Szatyński

Anna Oryńska

OSOBLIWY OBYCZAJ PRANDIUM

czyli Obchody święta Misericordias Domini (2. Niedziela po Wielkiejnocy) w dawnym Wrocławiu

Prandium to po łacinie późne śniadanie, ale także nazwa zwyczaju praktykowanego we Wrocławiu od czasu Reformacji aż do 1875 r. przez katolicko-ewangelickie bractwo altarystów. Celem tego corocznego spotkania, które odbywało się w 2. Niedzielę po Wielkiejnocy, czyli w niedzielę Misericordias Domini, był podział – według ustalonego parytetu – beneficjów ołtarzowych kościołów parafialnych św. Elżbiety i św. Marii Magdaleny między kapitułą katedralną i zarząd obu ewangelickich parafii. Kapituła katedralna zobowiązywała się odprawiać msze za zmarłych fundatorów w zamian za część dochodów związanych z fundacjami ustanowionymi w przeszłości dla poszczególnych ołtarzy. Pozostałe fundusze przeznaczano na potrzeby socjalne ubogich, chorych i niezdolnych do pracy współobywateli miasta.

W okresie Reformacji oba wrocławskie kościoły parafialne: św. Marii Magdaleny i św. Elżbiety, stały się wspólnotami luterańskimi (pierwszy z nich od 1523 r., a drugi – od 1525 r.). Mimo zmiany wyznania wrocławianie uszanowali dziedzictwo poprzednich pokoleń. Ewangelicy mieszczenie fundowali wprawdzie nowe elementy wyposażenia kościołów, odpowiadające nowemu wyznaniu (np. budowa ambon, zmiana ustawienia ław w kościele – zwrócenie ich w kierunku ambony), ale pozostawiali istniejące dotąd elementy wspaniałego wystroju kościołów, chociaż nie odpowiadały one już potrzebom nowej liturgii i nowej doktrynie religijnej. Powstały przecież przez wieki dzięki ich przodkom – fundacjom możnych rodów patrycjuszowskich, bogatych cechów rzemieślników i kupców. Pozostawiono więc np. w obu kościołach murowane gotyckie sakramentaria. Uszanowano także ustanowione przez poprzednie pokolenia fundacje mszalne przy stu pięciu ołtarzach w obu kościołach farnych. Istniało specjalne bractwo altarystów, które sprawowało opiekę nad nimi. Wiele z nich umieszczone było w osobnych kaplicach, tworzących jakby niezależny od kościoła farnego, do którego przylegały, mały kościół wyposażony we własne drogocenne księgi, szaty i naczynia liturgiczne oraz osobnych duchownych, mających odprawiać wieczyste modły za fundatorów kaplic.

Specyficzne dla Wrocławia było to, że w okresie Reformacji beneficja ołtarzowe zostały w pokojowy sposób podzielone według ustalonego parytetu między kapitułą katedralną i zarząd obu ewangelickich parafii, natomiast drogocenne, zdobione szlachetnymi kamieniami paramenty (naczynia liturgiczne i przedmioty kultu, np. relikwiarze) oraz szaty liturgiczne spieniężono na potrzeby pomocy ubogim i chorym. Dzięki tym funduszom w 1526 r. możliwa była budowa szpitala miejskiego Wszystkich Świętych (w jego miejscu znajduje się – obecnie w stanie likwidacji – dawny szpital im. Babińskiego na pl. Jana Pawła II). Coroczne prandium, czyli śniadanie, podczas którego dzielono fundusze, odbywało się w kurii kanoników katedralnych, potem w mieszkaniach prywatnych lub u handlarzy win. Uczestnikami prandium byli przedstawiciele kapituły katedralnej, ewangelicy seniorzy, przedstawiciele rady miasta oraz bractwa altarystów. Prandium miało swój rytuał. Tradycyjnie podczas spotkania



**Sakramentarium
we wrocławskim kościele
św. Elżbiety.
Fot. Krzysztof R. Mazurski**



Ul. Parkowa 6 i 4. Fot. www.wroclaw.hydral.com.pl

powstaje nowy budynek. Jest on przeznaczony na budynek administracyjny. W okresie II światowej zakłady produkują dalej kalkomanię. Po przejściu ich przez władze powstaje warsztat mechaniczny produkujący wyroby metalowe, które można było wykorzystać do celów militarnych.

Po II wojnie światowej produkcję kalkomanii wznowiono w 1947 r. Od tamtego czasu zakłady przechodziły kilka zmian organizacyjnych, w wyniku których w 1953 r. powstały zakłady pod nazwą Wałbrzyskie Zakłady Graficzne „Kalkomania”. Podlegały one Zjednoczeniu Przemysłu Ceramicznego w Warszawie, a następnie w Kielcach. Po utworzeniu Zjednoczonych Zakładów Ceramiki Stołowej „Cerpól” w Wałbrzychu od 1.01.1973 „Kalkomania” wchodziła w skład tego zjednoczenia. Po II wojnie światowej budynki przy ul. Parkowej kilka razy były przebudowywane. I tak, budynek nr 6 od 1947 do 1969 r. był budynkiem mieszkalnym. Wskutek przebudowy w 1969 r. na pomieszczenia maga-



**Ul. Parkowa 8/10 ok. 1925 r.
Fot. www.wroclaw.hydral.com.pl**



Ul. Armii Krajowej 21-22. Fot. autor

zynowe następuje zatarcie pierwotnego układu budynku. W 1985 r. wyremontowano dach, a w 1995 r. pomalowano wnętrze budynku. Budynek nr 8 w 1947 r. miał wyremontowane wnętrze. Następny remont przeprowadzony był w 1969 r. Polegał on na odnowieniu elewacji, ułożeniu tynku cyklinowego oraz witromozaiki. W 1985 r. wyremontowano konstrukcję dachu oraz częściowo wymieniono jego pokrycie. W 1990 r. pomalowano wnętrze, a w 1996 r. złożono nowe obróbki, pomalowano wnętrze oraz położono wykładziny. W 2003 r. opracowana została ekspertyza budowlana więźby dachowej budynku nr 1 wraz z projektem wzmocnienia konstrukcji przez inż. Waldemara Mazaniuka. Obecnie budynek pełni funkcję administracyjną, bazę produkcyjną i pomocniczą. W chwili obecnej (2010 r.) jest to największy w Polsce producent kalkomanii przemysłowej, zaś budynki zostały wpisane do rejestru zabytków.

OGRÓD JAPONSKI we Wrocławiu

Historia tego ogrodu zaczyna się podczas Wystawy Sztuki Ogrodowej, towarzyszącej otwarciu Hali Stulecia w 1913 r. W Parku Szczytnickim prezentowano wtedy różne rodzaje ogrodów, obrazujących rozwój tej sztuki w Europie i Niemczech. Wystawa nawiązywała do tradycji i do roli ogrodów w kształtowaniu przestrzeni, wspólnie z architekturą i sztukami plastycznymi, promowała również osiągnięcia śląskich firm ogrodniczych. Ogród japoński założono na okres wystawy według pomysłu hr. Hochberga z Howej koło Żagania, podróżnika i kolekcjonera, zafascynowanego japońską kulturą i sztuką. Stworzono ogród na podobieństwo naturalnego lasu wokół stawu o niezwyklej formie kształcie. Dobrano odpowiednią roślinność, wykonano sztuczne kaskady i strumienie oraz ścieżki spacerowe. Dopelnieniem kompozycji były elementy architektury ogrodowej, takie jak kamienne latarnie, bambusowa pergola czy pawilon herbaciany, usunięte po wystawie.

Mimo tymczasowości tego ogrodu jego ukształtowanie i roślinność zachowały się w części do czasów powojennych. Z różnym skutkiem próbowano go potem odtworzyć, a największą odmianą względem oryginału była przez pewien czas nieudana pagoda na stawie, wzorowana na Złotym Pawilonie z Kioto. Ogród dzisiejszy jest wynikiem prac rewaloryzacyjnych podjętych przez władze miejskie w 1994 r. przy pomocy Ambasady Japonii w Polsce. Zespół polsko-japoński pod kierunkiem specjalistów z Tokio i z Nagoya opracował i zrealizował nową koncepcję, w pełni zgodną z zasadami japońskiej sztuki ogrodowej. Powódź w lipcu 1997 r. niemal zniweczyła efekt tych prac, zaledwie w dwa miesiące po otwarciu ogrodu. Szkody usuwano przez ponad dwa lata, wymieniając większość roślin, także tych leciwych, jednak ponowne zwiedzanie było możliwe już od czerwca 1998 r.

Zwiedzanie zaczyna się zwykle od planu sytuacyjnego i trzech masztów, na których oprócz flag Polski i Wrocławia znajduje się także flaga Japonii, w podziękowaniu dla współtwórców obecnego ogrodu. Flagi państwowe są biało-czerwone, tak samo nazwano więc ogród. Napis **HAKKOEN**, umieszczony na prawym filarze bramy wejściowej, oznacza ogród biało-czerwony. Ogród wrocławski łączy typ ogrodu spacerowego z miejscem tradycyjnym dla ceremonii parzenia herbaty, a wokół stawu nabiera on charakteru krajobrazu nadbrzeżnego. Wchodząc na teren Ogrodu Japońskiego należy pamiętać o symbolicznym znaczeniu wszystkich jego elementów. Warto zachować ciszę i w skupieniu poznawać uroki tego miejsca, spacerując po wyznaczonych ścieżkach.

Główne wejście do ogrodu to ogromna drewniana brama **Sukiya-mon**. Przestrzeń za nią jest już innym światem, w którym można odpocząć od codziennych trosk. Na tle bambusowego ogrodzenia rośnie biało kwitnąca magnolia japońska, klon palmowy i formowany cis, a obok ustawiono niewielką kamienną latarnię. W ogrodzie będzie ich więcej, jedynych w swoim rodzaju. Przywieziono je z ogrodów w Nagoya, podobnie jak misy na wodę i miniaturową wieżę z kamienia. Umycie rąk i przepłukanie ust bieżącą wodą nad misą **Tsukubai** to tradycyjne, symboliczne oczyszczenie, a czerpanie wody wymagało pochylecia się, jakby w pełnym szacunku ukłonie. Uwagę zwracają liczne elementy skalne o różnej wielkości i kształtach, interesującej strukturze, rysunku szczelin czy z innymi śladami erozji. Kamienie są symbolem trwałości i nawiązaniem do krajobrazu górskiego, i będą nam towarzyszyły w całym ogrodzie.

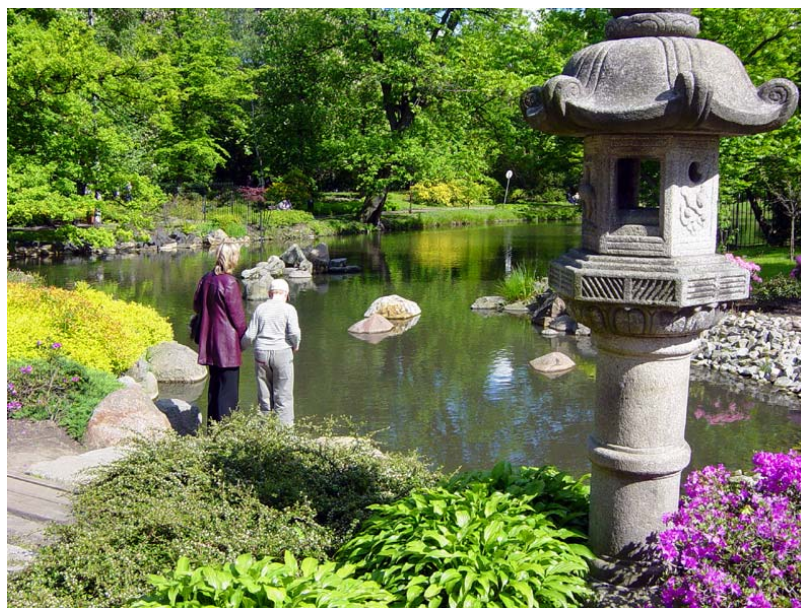
W ogrodzie dominuje zieleń o wielu subtelnym odcieniach. Wiosną i latem na jej tle rozkwita pełna paleta barw, jesienią zieleń liści zamienia się w złoto, czer-



wień, czy rdzawy brąz, a zimą wszystko pokrywa biel. Wiele roślin jest pochodzenia rodzimego, zadomowiły się tu jednak i niezwykle rzadkie okazy, w naturze występujące tylko w Azji, czy w Ameryce Północnej. Przy pierwszym rozwidleniu alejek wyróżnia się sośnica japońska, żywa skamieniałość i jasnozielony „dywanik” utworzony wśród kamieni przez karmnik ościsty, przypominający mech. Jeśli skróćmy w prawo w kierunku zwiedzania, wkrótce dotrzemy do studni **Izutsu** i pawilonu herbaty **Azumaya**. W studni, w płytkiej wodzie, leżą zwykle wrzucane przez gości monety, które przeznacza się na karmę dla ryb w stawie. Niewielki pawilon ma prostą, surową konstrukcję z rozsuwanymi ścianami, prostota cechuje też ogród przy pawilonie, w części kamienno-żwirowy. Zwyczajowo, przed wejściem do środka należałoby zdjąć obuwie, a w czasach samurajów na zewnątrz zostałyby i miecze. Wśród roślin na pewno zauważymy krzew migdałowca, sosnę japońską stylizowaną na **bonsai** i kokoryczkę, pokrewną konwalii, w pobliżu kolejnej misy z wodą **Tsukubai**.

Powstanie ceremonii parzenia herbaty także miało związek z pasją kolekcjonerską. Szogun Yoshimitsu z panującego w Kioto rodu Ashikaga zbierał chińską porcelanę i różne akcesoria do parzenia herbaty i z dumą prezentował je swoim gościom. Gdy usłyszał o ceremonii parzenia herbaty, wypracowanej przez niedoszłego mnicha buddyjskiego, zaprosił go na swój dwór i tak zwyczaj rozpowszechnił się i utrwalił. Największą sławę wśród mistrzów, którzy rozwijali i udoskonalali ceremonię **Chanoyu** – drogi herbaty, zyskał Sen Rikyu, nauczający w XVI w. Według anegdoty, zostałby uczniem tego, komu udało się tak podać herbatę, by „latem stworzyć wrażenie rześkiego chłodu, zimą zaś rozgrzewającego ciepła, a wziąć przy tym węgla tyle, by zawrzała woda i tyle herbaty, by zrobić dobrą herbatę”. Ceremonia parzenia herbaty, zakładanie ogrodów, układanie kompozycji z kwiatów stały się dziedzinami sztuki dzięki filozofii **zen**. Cechy estetyki zen, to prostota, surowość i klarowność formy. Zen uczy poszukiwania spokoju i harmonijnej jedności człowieka z naturą.

Kierujemy się nad staw. Po prawej stronie ścieżki widzimy kamienną plażę i port, które symbolizują brzeg zatoki morskiej, a na stawie skalne wysepki. W pobliżu stoi wysoka kamienna latarnia



Kasuga na postumencie. Latarnie wykonywano przeważnie z granitu, a ustawiano przy wejściach do świątyń, wzdłuż alejek w ogrodach, jako akcent widokowy, zarówno jako ozdoba, jak i źródło światła. Ich wielkość była dostosowana do wielkości i do architektury ogrodu. Za stawem, tuż przy ogrodzeniu, rozlokowały się słynne wiśnie japońskie **Sakura**. Ich kwiaty są wszechobecnym symbolem Japonii, a w okresie kwitnienia wiśni całe rodziny udają się do świątyń i parków, by je oglądać. Tu także spotkamy ich więcej, w różnych miejscach ogrodu. Przed wejściem na mostek przechodzimy pomiędzy roz-

krzewionymi cisami, uschniętymi po powodzi, które obecnie stanowią podpory dla kwitnącej na liliowo glicynii, zwanej też wisterią chińską lub słodlinem. Z drewnianego mostku **Taiko-bashi**, wygiętego w łuk nad przewężeniem stawu, podziwiamy widoki na niemal cały staw i wyspy, i na długi most **Yumedono Bashi** z pawilonem widokowym. Jedna z wysp ma kształt żółwia. Za mostkiem skręcamy w lewo, do przystani nad stawem z drewnianym pomostem, przy którym czasami cumuje łódka wykonana według japońskiego modelu z VI w. Po prawej stronie alejki rośnie kasztanowiec pełnokwiatowy, który nie owocuje, oraz duży, krzewiasty dereń; w pobliżu są też azalie japońskie i rododendrony, bardzo liczne w ogrodzie, rozmaitych odmian. Niski pomost przystani tworzy zatoczkę dla ogrodu roślin wodnych i błotnych, gdzie rozrosły się japońskie irysy o niebiesko-fioletowych kwiatach. Stąd możemy bliżej przyjrzeć się tawułom na przeciwległym brzegu w formie falującego żywopłotu i popularnym już u nas licznym żywotnikom różnych odmian, obok wierzby płaczącej. Wzdłuż alejki

spotykamy klony palmowe o kolorowych liściach, wymyślnie przycinane cisy oraz dekoracyjne kamienie, pojedyncze lub w grupach, nieparzystych co do ilości i asymetrycznych, jak w naturze.

Drewniany most **Yumedono Bashi** z zadaszonym sześciokątnym pawilonem to doskonałe miejsce na chwilę odpoczynku, z którego roztacza się szeroki widok na najdalszą część stawu z zieloną wyspą na środku i kamienną wieżą w kształcie pagody oraz na pawilon poczekalni. Nawet stąd nie zobaczymy jednak ogrodu w całości, bo idea ogrodów japońskich, to zachęcanie do odkrywania widoków i ukrytych obrazów podczas spaceru. Na pewno podpłyną do nas ciekawskie kaczki i duże, kolorowe japońskie karpie **koi**. Nim wrócimy do alejki, zwróćmy uwagę na tabliczkę z linią pokazującą poziom wody podczas powodzi w 1997 r. Podążamy dalej w kierunku pawilonu poczekalni **Machai**, w którym goście oczekiwali na gospodarza przed ceremonią herbaty, w spokoju oglądając panoramę ogrodu. Przy poczekalni zwraca uwagę sosna czarna, przycinana w piętrowe warstwy oraz styraks japoński, kwitnący w czerwcu, o dzwonkowatych i intensywnie pachnących kwiatach.



Dalsza droga prowadzi obok kaskady żeńskiej **Onna-Daki**, po kamieniach. Woda spływa do stawu powoli, łagodnie, delikatnie szumiąc. Teraz czeka nas wymagająca skupienia przeprawa przez staw po kamieniach częściowo zanurzonych w wodzie, ale wkrótce docieramy do ławki na małym wzniesieniu nad wodą, która zaprasza, by usiąść i znowu odpocząć. Gdy już nasycimy oczy malowniczym widokiem, podejźmy do trzech metasekwoi chińskich. Najgrubsza z nich ma ponad 60 lat, ale to drzewa długowieczne, naturalnie występujące w chińskich górach i kolejne żywe skamieniałości. Nie są wymagające co do warunków, więc coraz częściej uprawia się je w ogrodach.

Dalej znajdziemy wśród drzew jeszcze kaskadę męską **Otoko-Daki**, bardzo efektowną i mocno szumiącą. Woda płynie stąd do stawu w trzech strugach. Niedaleko od niej w grupie wysokich drzew rozpoznamy miłorząb, **Ginkgo**, prastare i święte drzewo w wielu krajach Azji. Miłorząb dożywa tysięcy lat, jest bardzo odporny na różne warunki i jest rośliną leczniczą. W pobliżu rośnie piękny okaz złotego modrzewnika chińskiego i unikatowe szydlice japońskie, czyli kryptomerie lub **sugi**, które naturalnie rosną tylko w Japonii i należą do 50-metrowych olbrzymów. Poniżej drzew pyszną się liczne rododendrony i azalie. Idąc ścieżką nad brzegiem stawu mijamy symboliczny kamienny port i znowu możemy wejść na most z pawilonem widokowym. Z mostu kierujemy się do wyjścia, np. środkową ścieżką obok kaskady męskiej, ale do wyboru mamy kilka ścieżek. Miłośnicy roślin po drodze mogą jeszcze znaleźć klony Ginnala, kalmię szerokolistną, zimozielony krzew o pięknych kwiatach, trujący dla zwierząt, oraz parczelinę trójlistkową, której owoce służyły kiedyś w Ameryce jako namiastka chmielu przy produkcji piwa. Pod drzewami wyróżniają się pierisy, liczne krzewy mahonii, kolorowe hortensje i funkje. Jeśli idziemy w kierunku kaskady męskiej od jej lewej strony, zobaczymy ją jakby w oknie, utworzonym przez wycięcie niektórych gałęzi.

Za bramą boczną **Fuku-mon** nie da się przeoczyć grupy specjalnie dobranych odłamów skalnych oraz fantazyjnie uformowanych krzewów iglastych. Otaczający je gruby żwir jest czasem zgrabiony w kształcie fal, jak w ogrodach kamiennych, trzeba jednak wejść między kamienie, by przeczytać napisy na tabliczkach upamiętniających twórców ogrodu, którym zawdzięczamy tę niezwykłą atrakcję miasta.

Materiały źródłowe: G. Grajewski „Ogród Japoński w Parku Szczytnickim”, MAK 2002; materiały edukacyjne Ogrodu Botanicznego we Wrocławiu i szkoleniowe z kursu PTTK O/PAN oraz Wikipedia.

Fot. Piotr Dacko

PAŁKI Z KOBIAŁKI

Tekstów poświęconych nazewnictwu sudeckiemu mamy jak na lekarstwo, dlatego z zainteresowaniem przeczytałem ciekawy artykuł Arkadiusza Lipina zamieszczony pod tytułem **Kobyła Łąka (Kobelwiese)** na witrynie www.goryizerskie.pl. Należy w menu otworzyć 'miejsca'. Autor ilustruje swój tekst mapką oraz interesującymi zdjęciami w tym historycznym widoku tego miejsca przed rokiem 1945. W opracowaniu można znaleźć kilka bardzo trafnych spostrzeżeń i uwag. A. Lipin słusznie podejrzewa, że najstarsza nazwa tej łąki *Kobelwiese* (T.K. Messtischblatt z 1885 r.) jest nazwą odosobową powstałą od imienia, a później nazwiska Kobel. Ta złożona nazwa dzierżawcza oznacza 'łąkę należącą do Kobela'. Potwierdza to Słownik Nazw Geograficznych Śląska w tomie V. Witryna www.moikrewni.pl informuje, że jeszcze dzisiaj mieszka w Polsce 611 osób o tym nazwisku, najwięcej w powiatach biłgorajskim i zamojskim oraz we Wrocławiu. W Niemczech jest ich prawie dwa razy więcej (www.verwandt.de). Niemieckie imię Kobel zostało urobione z nazwy własnej *kobel* oznaczającej w śr.-gr.-niem: przegrodę, klatkę, stajnię, oborę (DUDEN Rechtschreibung der deutschen Sprache und der Fremdwörter. Horst Klein: Wiesbaden 1949). We współczesnej niemczyźnie *Kobel* oznacza gniazdo wiewiórki lub koszatki, albo ogranicznik komina lokomotywy parowej (Wikipedia). KUNM, tworząc polską nazwę, szczególnie zainteresowała się ową 'przegrodą', czyli przeworą, albo kobyłą. Dlatego polska nazwa terenowa nie pochodzi od samicy konia, lecz **od nazwy zapory** stawianej na rogatkach wsi i miasteczek. Jednak Komisja wcale nie przejęła się motywacją topograficzną nazwy polskiej, tj. jej terenowym uzasadnieniem. Postąpiła analogicznie do nazw miejscowych, a tych w dokumentach naliczyłem jedenaście, prawie wszystkie tłumaczone: Kobel=Kobyła. Kobelwitz w powiatach trzebnickim i kozielskim ustalono jako Kobylice, Kobelnick w pow. średzkim ochrzczono na Kobylniki, Kobelau w pow. ząbkowickim zostało Kobyłą Głową (Kobylów?), jezioro Koblitzten See w pow. gorzowskim nazwano Kobylicą, Kobilianen w pow. ełckim zostały Kobylinem (Kobyłany?), Kobelhals w pow. szczycieńskim nazwano Kobylocha (gatunek śliwki!). Kobilnik w pow. złotowskim pozostawiono jako Kobylnik, a jezioro Kober See w pow. nidzickim nazwano... Głowacz (Kobiałka!). Problemy były z dwoma nazwami: Kobeln w pow. lidzbarskim nagle został... Kobiela zamiast Kobylnem, a wzgórze Koberstücker w pow. sułecińskim nadano nazwę Kopicca. Rozległe i niskie wzgórze Niemcy określili jako 'armatę'. Musiałem to zacytować, aby pokazać, że motywacja terenowa nazwy była dla Komisji ostatnim problemem, jakim się przejmowano. Nie miano na to czasu ani odpowiednich znawców terenu. Trudno dopatrzeć się w rachitycznym potoku Kobelwasser 'kobyłastej' wody czy straszliwej przeszkody terenowej. Zresztą dla Słowian rzeka nie była żadną przeszkodą, a co dopiero górski potok. Terytoria plemienne układały się po obu stronach rzeki, a nie od rzeki do rzeki. Komisja, niestety, normalnie nie wyczuwała nazw terenowych, gdyż błędy w tej grupie są nagminne. Autor hasła w SNGS wyjaśnił Kobelwasser jako germanizację pierwotnej Kobyłej Wody lub nazwę złożoną: Kobel = skała+woda. Chodzi chyba o jedno ze znaczeń leksemu *kobyła* jako wielkiego odłamu skalnego (Fr. Sławski). Tom V wydano w Opolu w 1991 r. i reprezentuje on jeszcze stary sposób myślenia; wszędzie dopatrywano się nazw słowiańskich, albo okrutnej ich germanizacji!

Nie ulega wątpliwości, że **niemieckie toponimy** Kobelwasser i Kobelwiese powinny być tłumaczone jako Kobelowa Woda i Kobelowa Łąka. KUNM nie polubiła tego imienia, chociaż nie zgłaszała zastrzeżeń do imion: Henryk, Konrad, Ludwik. Tymczasem Kobel występuje na Śląsku od 1291 r. (A. Bańkowski, ESJP) i z czasem uległ polonizacji na Kobiec, Kobnik i Kobięł. Już A. Brückner wskazał na pokrewieństwo niemieckich nazw osobowych Kobel i Kober jako urobionych od Koben, Kobe – chlew. Przeciętny Niemiec żyjący w zagubionej wśród gór osadzie nie miał pojęcia o skomplikowanym pochodzeniu obu nazw z dialektu śr.-gr.-niem., natomiast doskonale kojarzył nazwy z *kober* 'kobiałka'. Dlatego obie nazwy pojawiały się wymiennie i stąd obecność imienia Kober na mapie T. K. Messtischblatt z 1918 r., a imienia Kobel na późniejszych wydaniach tej mapy, aż do 1942 r. Potwierdza to F. Sławski w swoim słowniku pisząc o nazwie 'kobel': 'wyraz niemiecki mógł też

oznaczać kobiałkę jak należący do tej samej rodziny z odmiennym przyrostkiem niemieckim kober'. Tymczasem w staropolszczyźnie 'kobiałka' to zdrobnienie od 'Kobiela'. A. Bańkowski pisze w swoim słowniku, że Kobiela (wtórnie: Kobiel) jest nazwą 'półokrągłych koszyków, albo toreb plecionych z wikliny lub łyka, zawsze w kształcie litery D'. Nazwa pochodzi od zach.-słow. kob-elja: naczynia na losy wróżebne, a sam prasłowiański morfem *kob ma wg F. Sławskiego związek z ptakami; wróżeniem z lotu ptaków. Nazwa osobowa Kobiela (później: Kobiel i Kobiała) wystąpiła już w XIV w. i wiąże się z nazwami niemieckimi tylko poprzez kobiałkę, a nie przez chlew. Danuta Kopertowska wymienia w swoich 'Kieleckich antroponimach XVI i XVII wieku' (1980) nazwy osobowe Kobiałka i Kobelicki. W całej Polsce od XIV w. notuje się liczne nazwy miejscowe typu: Kobiela i Kobile, które A. Bańkowski wyprowadza od wypukłego kształtu pól śródleśnych. W szerokim znaczeniu przymiotnik 'kobielaty' oznacza wszelką wypukłość, półokrągłość i baniastość od księżycy, aż po kobietę w ciąży (chodzić z kobiałką!). A górnołużycka 'kobjel' to kobiałka, zmarszczka, wystająca fałda. Kobiela jest znakomicie umotywowana terenowo. Jeżeli poprowadzimy linię prostą od Kobelwiese do Kobelwasser, to otrzymamy przekrój terenowy stanowiący poziomo ułożone dwie duże litery D: pierwsza brzuszkiem do góry a druga na dół. Poza tym na zdjęciu A. Lipina (Deutsche Fotobibliothek) jest doskonale widoczna fałda terenowa odchodząca od bezimiennej góry ze skałami Alte Schloss, na której stanęły domy Kobelhäuser. W nadgranicznej osadzie zagubionej w górskich lasach ludzie żyli jak wszędzie z pracy w lesie, przemytu i kłusownictwa. Na temat hodowli koni (na torfowisku!) źródła milczą, a wyposażenie jednostki WOP-u w kobyły potraktujmy z humorem. W tych czasach nazwy terenowe typu Kobyła z reguły powstawały od nazw miejscowych, ale Kobelhäuser powstała jako jedna z ostatnich nazw, więc i ten argument odpada.

Nie przebiła się jednak do turystyczno-krajoznawczej świadomości prawda, że w 1951 r. KUNM ustaliła w tej okolicy tylko **jedną** polską nazwę o charakterze urzędowym. Potokowi Kobelwasser nadano polską nazwę... **KOBYLA!** Hydronim ma formę jednowyrazowej nazwy prostej o charakterze przymiotnikowym. KUNM popełniła dwa błędy: pominęła człon 'wasser', co dałoby logiczną nazwę 'Kobyła Woda', oraz zlekceważyła groźbę upodobnienia nazwy przymiotnikowej do rzeczownikowej, co w krótkim czasie nastąpiło. Jeszcze na 'steciówce' z 1956 r. (Część Zachodnia) występuje nazwa potoku w formie 'Kobyła', ale już na pierwszym wydaniu mapy 'Karkonosze' PPWK z 1958 r. mamy 'Kobyłę'. Treść turystyczną i nazewnictwo obu map opracował T. Steć. Nie ma więc wątpliwości, kto jest 'ojcem chrzestnym' owej kobyły. To od tej Kobyły jako nazwy obocznej powstała cała reszta polskich nazw potocznych: Kobyła Łąka, Kobyłka (dopływ Kobyły), a ostatnio Kobyła dla nazwy bezimiennej przed 1945 r. szczytu (906 m). Jak widać, kobył nie trzeba hodować, bo w tej okolicy mnożą się same! Wypada również wspomnieć historię zasiedlenia Kobyłej Łąki. Marek Staffa et alii piszą ostrożnie w tomie I Słownika Geografii Turystycznej Sudetów, że stałe osadnictwo na Izerskiej Łące pojawiło się w XVII-2, kiedy 'czescy uchodźcy religijni (ewang.) założyli tu nieistniejącą osadę Izera, która w 1747 r. liczyła 13 zagrodników i chałupników.' Jedno zdanie i dwa błędy. Po pierwsze: nie 'czescy uchodźcy', tylko Niemcy ewangelicy mieszkający w Czechach, po drugie: osada nazywała się Iser (później Gross Iser), a nie Izera. Jak wynika z tego, wcześniej nie mogły tu istnieć **żadne** nazwy słowiańskie. Tak więc sugestie, że to Niemcy zgermanizowali słowiańską nazwę 'Kobyła Woda' są zwykłą konfabulacją. Osadnictwo słowiańskie kończyło się tam, gdzie sięgało wleńskie terytorium plemienne, czyli do podnóża Grzbietu Kamienickiego, osadnictwo serbołużyckie kończyło się na Kwisie, a na północ od Izery Czesi bywali tylko jako kłusownicy. W okresie plemiennym Góry Izerskie były *terra incognita*, gdzie pierwsi, dopiero w średniowieczu, zapuszczali się Walońcy. Uważam, że z kręgu osadników wsi Iser pochodził Herr Kobel, który nie prędzej jak w XVIII-2 zbudował swój samotny dom na SE od osady. Kiedy koło niego pojawiły się dwa następne domy, nadano kolonii urzędową (pruską!) nazwę Kobelhäuser, tj. Kobelowe Domy. Jako ostatnia nazwa, zanotowana przez TKM z 1942 r., pojawia się 'Kobelschlag', czyli Kobelowa Poręba położona wysoko na zboczu kulminacji 906 m na południe od drogi prowadzącej z Kobelhäuser na Jelenią Łąkę (Michels-Bauden Plan). Dlatego uważam za słuszne nawiązanie do faktu, że pierwsze niemieckie toponimy miały charakter odosobowy, jak również zapewnienia nazwie motywacji topograficznej. W związku z czym proponuję nazwy: Kobielowa Woda dla Kobelwasser, a dla prawego dopływu potoku nazwę Kobiałka, Kobielowa Łąka dla Kobelwiese, Kobiela dla szczytu 906 m nazwanego Kobyłą



oraz Kobielowa Cięcina dla zbocza określonego nazwą Kobelschlag. Kiedy Rada Gminy Szklarska Poręba zajmie się łaskawie nazewnictwem swojego terenu, będzie miała gotowe propozycje. Jednak nie cieszymy się z góry jak raki w kobieli! A jak wygląda kobiela, czyli współczesna kobiałka można zobaczyć na pięknym zdjęciu Elżbiety Stec wykonanym na moją prośbę na targu w Kielcach. Kobiałka jest jednak wielkopolska, a nie świętokrzyska, co świadczy, że kryzys opanował już rynek kobiałek. Straszne!

.....

Tomasz Pacholec

KAJAKIEM PO NYSIE KŁODZKIEJ

W Polsce pierwsze załężki turystyki kajakowej rozwinęły się jeszcze za czasów, kiedy nasz kraj znajdował się pod zaborami Prus, Rosji i Austrii. We Lwowie w ramach towarzystwa gimnastycznego „Sokół” w 1867 r. powstała sekcja kajakowa. W Galicji w 1884 r. powstało Krakowskie Towarzystwo Wioślarskie. W Królestwie Polskim zostaje utworzone Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie w 1878 r. Najpóźniej powstaje organizacja sportowa w zaborze pruskim – w 1893 r. Związek Sokołów Wielkopolskich. Z biegiem lat ten rodzaj turystyki i wypoczynku stawał się coraz popularniejszy, co przyczyniło się do powstawania nowych sekcji kajakarskie czy wioślarskich. Zostają wytyczone szlaki kajakowe, a z roku na rok organizowane są coraz to nowsze imprezy, które przyciągają jeszcze większą rzeszę zagorzałych fanów kajakarstwa. Do największych imprez kajakowych w Polsce, cieszącymi się pięknymi tradycjami i ciągłym zainteresowaniem, zalicza się:

- Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Dunajcu,
- Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Mazurach,
- Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Brdzie,
- Międzynarodowy Spływ Kajakowy „Złote Liście”.

Klub Turystyki Kajakowej „Ptasi Uskok” działa już od ponad 39 lat. Obecnie w ciągu roku organizuje lub bierze udział w ponad 22 spływach, w tym w Międzynarodowym Spływie Kajakowym „Złote Liście”, który odbywa się we wrześniu. Ponadto KTK „Ptasi Uskok” poszerza swoje horyzonty pływając po rzekach i jeziorach poza granicami naszego kraju. Organizuje m.in. spływy po Wełtawie w Czechach, Jez. Poczdamskim w Niemczech czy też po rzece Salza w Austrii. „Wędrówki” po rzekach, które organizuje lub bierze udział Klub, zasadniczo odbywają się w ciągu całego roku, w tym również zimą. Okres trwania spływów waha się od jednego dnia do dwóch tygodni i organizowane są na terenie całego kraju. Uczestniczą w nich członkowie Klubu, jak i osoby nienależące do doń.

Ogólnopolski spływ kajakowy po Nysie Kłodzkiej organizowany jest zawsze co rok podczas trwania długiego weekendu majowego już od 1993 r. Ma ona charakter otwarty i przeznaczony jest dla ludzi, którzy lubią aktywnie wykorzystać swój wolny czas. Często biorą w nim udział kluby kajakowe z całej Polski oraz osoby, którzy nie przynależą do żadnego z klubów. Z roku na rok zdobywa on coraz

większą popularność, stąd też liczba uczestników w spływie często przekracza ponad sto osób. Spływ ten zwykle trwa około pięciu dni i odbywa się etapami.

Pierwszy etap spływu rozpoczyna się niedaleko wsi Zabłocie. Jest to wioska oddalona o 20 km od Kłodzka i 4 km od Bystrzycy Kłodzkiej. To najwyżej położona część spływu, przez co nurt jest na nim największy, lecz mało niebezpieczny. W czasie płynięcia zdarzają się „przenoski”, czyli miejsca niebezpieczne, w których kajak trzeba przenieść po brzegu o kilka lub kilkanaście metrów do przodu w celu ominięcia przeszkody, takich jak powalone drzewa czy jazy. Odcinek jest do przepłynięcia w około 4 godz. i kończy się w Kłodzku. Znajduje się twierdza z najcenniejszym zespołem fortyfikacyjnym z XVII-XVIII w., będąca przykładem klasycznym i unikatowym wzorem architektury obronnej tego okresu. Warto zobaczyć jest kościół Wniebowzięcia NMP, którego budowę rozpoczęli joannici w połowie XIV stulecia. Ciekawy jest także średniowieczny most gotycki, który swą formą i wystrojem rzeźbiarskim przypomina Most Karola w Pradze.

Po zakończeniu zwiedzania kajakarze przewożeni są autokarem do miejsca noclegu na terenie ośrodka wypoczynkowego w Bartnikach. Tam przy ognisku przychodzi czas na podsumowanie dnia, a następnie, kto ma ochotę i jest głodny, piecze kiełbasy przy ognisku oraz śpiewa w rytm gitary.

Drugi etap odbywa się na odcinku z Kłodzka do Barda. Jest to trasa około 20 km i poziomem trudności jest trochę łatwiejsza od odcinka pierwszego. Czas trwania waha się od 4 do 5 godz. Po dotarciu do Barda jest czas, aby trochę pozwiedzać oraz zjeść. To miasto o wspaniałym romantycznym położeniu, tzw. *złote wrota* do Ziemi Kłodzkiej. Na obu brzegach rzeki wznoszą się góry, których leśna szata schodzi prawie do wody. Bardo jest nie tylko idealnym miejscem dla turystów i wycieczkowiczów, lecz także dla pragnących dłużej wypocząć letników i wczasowiczów. Największym skarbem jest wielowiekowa figura MB. Czyim jest dziełem i kiedy dokładnie powstała, do dziś nie wiadomo. Jedni datują czas powstania figury na XIII w. Drudzy uważają, że pochodzi ona z początku XII w. i podają nawet czas jej powstania: lata 1110-1137. To najstarszym drewniany zabytek rzeźby romańskiej na Śląsku. Ponadto warto obejrzeć jest kościół Nawiedzenia NMP. W barokowym wystroju wnętrza przyciąga uwagę piękny ołtarz główny (1715) z obrazem przedstawiającym scenę Nawiedzenia NMP – dzieło największego malarza śląskiego baroku Michała Willmanna.

Po zakończonym etapie spływu kajakowego autokar transportuje wodniaków do bazy, czyli ośrodka wypoczynkowego w Bartnikach. Następny odcinek znajduje się między Bardem a wsią Topola położoną niedaleko koło bazy noclegowej.

Kolejny dzień rozpoczyna się już od wczesnej porze rannej, czyli o około 7-8 godz. Etap ten trwa około 6 godz., gdyż na trasie jest przewidziany długi postój na zwiedzanie Kamieńca Ząbkowickiego. Owa miejscowość słynie z niezwykle efektownego zamku, wchodzącego w skład założenia pałacowo-parkowego, którego cztery czerwone wieże górują nad okolicą. Przy parkingu znajduje się czerwony poewangelicki kościół Trójcy Świętej z wystawą muzealną o okolicznej przyrodzie. Warto też zajrzeć na pl. Klasztorny, można tu zobaczyć wspaniałą, potężną świątynię stojącą w towarzystwie zabudowań poklasztornych. Jeszcze jedna okazała budowla kryje się w Kamieńcu Ząbkowickim, a mianowicie wysoki, arkadowy wiadukt kolejowy wznoszący się ponad drogą prowadzącą do Ząbkowic Śląskich. Po zwiedzaniu kajakarze udają się dalej w kierunku Topoli, gdzie niedaleko znajduje się ich baza noclegowa.



Fresk sklepienny pałacu w nadnyskim Żelaznie.

Fot. Krzysztof R. Mazurski

Czwarty dzień niesie ze sobą dużo atrakcji. Na szczególną uwagę na tym etapie zasługuje postój w Paczkowie. To nieduże miasto nazywane jest polskim Carcassonne z powodu zachowanych unikatowych średniowiecznych obwarowań pierścieniem murów długości 1200 m i do 9 m wysokości wraz z basztami łupinowymi i czterema wieżami bramnymi. W centrum wielką atrakcją jest także Rynek ze stylowymi kamienicami i ratuszem z poł. XVI w. Unikat stanowi też kamiennie-ceglany, masywny i obronny kościół gotycki z XIV w. Gotyckie wnętrza zawierają m.in. renesansowy ołtarz, cenne nagrobki i unikalną studnię, tzw. tatarską. Dalszy odcinek zmierza w kierunku niezwykle malowniczego Jez. Otmuchowskiego. Zbiornik ten wybudowany został w latach 1926-33, na obszarze 2 tys. ha i posiada pojemności 143 mln m³, z unikatowym na skalę krajową siedliskiem czapli szarej, otoczony 29 ha rezerwatu. Jezioro znane jest wśród wędkarzy całej Polski jako doskonale łowisko, szczególnie sandacza. Słońce, powietrze i woda są magnesem, który każdego roku przyciąga tutaj tysiące turystów z kraju i zagranicy.

Po dotarciu do brzegów tego niezwykłego jeziora wodniacy mają czas, aby udać się do jednego z lokali i zjeść tam posiłek oraz ugasić pragnienie. Następnie autobusem zostają oni przetransportowani do bazy noclegowej, gdzie czeka już na nich beczka piwa, ognisko oraz wieczorne tańce w lokalu.

Ostatni dzień upływa na zbieraniu sprzętu, pakowaniu się, ale najpierw organizowane są wewnętrzne zawody. Bierze w nich udział każdy chętny, który ma chęć i ochotę, a wiek czy płeć nie stanowi bariery, gdyż wyszczególnione są różne kategorie uczestnictwa. Po zakończonych zawodach kajaki są pakowane na przyczepę, a uczestnicy po pięciu dniach wiosłowania oraz wielu pięknych i niezapomnianych wrażeń wracają do domu.



Krzysztof R. Mazurski

WZDŁUŻ ODRY MIĘDZY GŁOGOWEM A WROCŁAWIEM

Odra – druga co do długości rzeka Polski, licząca 854,3 km i spajająca zachodnie tereny naszego kraju, od pierwszych pobytów człowieka w tej części kontynentu, stanowiła dlań trudną przeszkodę do pokonania, ale z czasem znakomity szlak komunikacyjny. Nic dziwnego, że wyrósł nad nią łańcuch miejscowości różnej wielkości i różnej historii. Można je dziś poznać płynąc po rzece kajakiem, można ze szlaków rowerowych, no i oczywiście samochodem. Zapraszam więc do miejsc znanych, ale i nieznanymi, zapoznanych, godnych jednak uwagi krajoznawcy i turysty. Dodatkową pomocą może służyć przewodnik „Szlak Odry. W krainie łęgów odrzańskich” (Kraków 2008), którego współautorem zresztą jestem. Dla porządku są one przedstawione alfabetycznie.

BARTODZIEJE – wieś nad Baryczą w Pradolinie Głogowskiej. Półkoliste grodzisko z IX-X w. z wałem do 4 m wysokości i śladami fosy.

BEŁCZ WIELKI – wieś w Pradolinie Głogowskiej. Pałac z przełomu XIX/XX w., w skład jego zespołu wchodzi górzelnia, obora, spichlerz, stajnia; park krajobrazowy z XIX w. Ślady grodziska średniowiecznego.

BIELISZÓW – wieś na południowoschodnim skraju Pradoliny Głogowskiej. Ślady grodziska wczesnostrojańskiego. Ścieżka przyrodnicza „Bieliszowska Kropla”, 6 km, biegnie ze wsi przez las do Odry i z powrotem.

BORKÓW – część wsi Wojszyn, położona w Pradolinie Głogowskiej. Kapliczka z 1 poł. XIX w. Nad Odrą ciąg umocnień ziemno-betonowych tzw. „Rygła Odry”.

BRODNO – wielodrożnicowa wieś w Pradolinie Wrocławskiej, niegdyś nad Odrą, która przesuwała koryto na północ i pozostawiła długie starorzecze. Nazwa, odnotowana w 1267 r., wskazuje na

istnienie tu brodu, wykorzystywanego zapewne – jak wskazują wykopaliska, od mezolitu (ponad 4200 lat temu). Dwór z pocz. XX w.

BRZEG DOLNY – miasto położone w Pradolinie Wrocławskiej, pierwsza wzmianka w 1305 r. Dawna osada rybacko-flisacka, potem i targowa. Prawa miejskie uzyskane w 1665, utracone kolejny raz w 1895 i ponownie nadane w 1954 r. W 1940 r. rozbudowa do dużych rozmiarów zakładów chemicznych (gazy trujące dla wojska i obozów koncentracyjnych), przekształcone po 1945 r. w jeden z największych kompleksów chemicznych w Polsce (NZPO Rokita), co pociągnęło duży rozwój miejscowości. Zespół pałacowy obejmuje pałac z lat 1783-90 projektu twórcy m.in. Bramy Brandenburskiej K. G. Langhansa, oficynę, stajnię i wozownię; w parku w stylu angielskim – zorganizowanym jako pierwszym tego typu na Śląsku, mauzoleum von Hoyma. Kościoły: MB Bolesnej Szkaplerznej z XVII w., Wszystkich Świętych z XVI w., cmentarny z XVII w. (kaplice cmentarne z XVIII w.) i kościół ss. Boromeuszek z XIX w. Zbiornik retencyjny na Odrze oraz elektrownia wodna zbudowana w 1958 r. Na osiedlu Kręsko (d. wieś) na nadodrzańskiej terasie grodzisko spalone w X w., na miejscu osady z okresu rzymskiego (II-III w.). W pobliskich Wałach duży ośrodek wypoczynku świątecznego.

BUDKÓW – nieduża wieś w Obniżeniu Ścinawskim. Ścieżka przyrodnicza „Ujście Jezierzycy”, 3 km, o charakterze pętli od wsi do Odry.

BUSZKOWICE – wieś w Obniżeniu Ścinawskim. Drewniany wiatrak z 2 poł. XIX w.

CHEŁM – nieduża wieś w Pradolinie Głogowskiej. Od wschodu duże starorzecze Odry. Ścieżka przyrodnicza „Chełm”, 5 km długości, biegnie ze wsi do starorzecza i Odry, następnie wraca.

CHOBIEŃ – wieś, choć miejscowość wymieniona w 1303 r. jako miasto (prawa utracone na pocz. XIX w.), w Obniżeniu Ścinawskim, przy której gród został wspomniany w 1209 r. Renesansowy pałac Kotwiczów zbudowany w 1583 r. na zrębach XV-wiecznego zamku, obok park z wieloma dorodnymi drzewami, w tym miłorząb chiński. Kościół z XVI w. Na nadodrzańskiej skarpie pozostałości grodu z przełomu X-XII w. Przeprawa promowa na Odrze.

CHOMIAŻA – wieś na skraju Wysoczyzny Średzkiej i Pradoliny Wrocławskiej, kontynuująca tradycje osadnicze od czasów kultury łużyckiej (1200-400 lat p.n.e.), na co wskazuje cmentarzysko z tamtego okresu. Wzmiankowana w 1217 r. Kościół św. Michała Archanioła, pierwotnie gotyki, zbarokizowany w latach 1693-96. Dość bogate wyposażenie barokowe z XVII/XVIII w. Sporo ciekawych domów z XIX/XX w. Przy ul. Nowy Świat gład narzutowy o obwodzie 265 cm.

DŁUŻYCE – wieś w Obniżeniu Ścinawskim. Gotycki kościół z XV w., w nim polichromowany XVII-wieczny strop. Obok dwór z XVIII w., później zmieniony.

DROGŁOWICE – wieś w Pradolinie Głogowskiej. Klasycystyczny pałac z przełomu XVIII/XIX w., nadbudowany pod koniec XIX w. Ciekawy westybul i sala balowa na piętrze. Obok resztki parku krajobrazowego z tegoż czasu.

DZIEWIN – wieś w Obniżeniu Ścinawskim. Kościół św. Piotra i Pawła, gotycki z XIV w., restaurowany w XVII w. Pałac z XVI w., przebudowany w 1700 r. i restaurowany w XIX w.; park pałacowy. Ścieżka przyrodnicza „Łęgi koło Dziewina”, 4 km długości, wiedzie ze wsi wzdłuż starorzecza nad Odrę, potem z biegiem rzeki i wraca do punktu wyjścia.

GAŚTORÓW – wieś w Pradolinie Wrocławskiej z neolitycznymi tradycjami osadniczymi. Parterowy dwór z XIX w. W sąsiedztwie czworoboczne grodzisko z XIII/XIV w., w d. piaszkowni cmentarzysko kultury przeworskiej.

GLINIANY – wieś w Obniżeniu Ścinawskim, lokowana w 1249 r.,



Odbudowywana kolegiata w Głogowie.
Fot. Krzysztof R. Mazurski

ale kontynuująca tradycje osadnicze zapewne od czasu kultury lużyckiej (tak datowane odkryte cmentarzysko).

GŁOGI – przysiółek wsi Głoski w Pradolinie Wrocławskiej, położony w pobliżu starorzecza Odry. Klasycystyczny kościół z 1822 r. z dwoma renesansowymi płytami nagrobnymi, część wyposażenia barokowa. W pobliżu przeprawa promowa do Brzegu Dolnego.

GŁOGÓW – miasto nad Odrą, położone w Pradolinie Głogowskiej i na Wzgórzach Dalkowskich. Pierwotna, prehistoryczna osada znajdowała się na prawym brzegu Odry, odgrywająca niezwykle ważną rolę przy przejściu przez rzekę w głąb kształtującego się państwa polskiego. Po najeździe niemieckim w 1010

r. Dziadoszanie wzniesli gród na Wyspie Tumskiej, słynny z obrony przed podobnym najazdem w 1109 r., kiedy obrońcy swoje dzieci wzięte na zakładników poświęcili dla odparcia szturm. W 1155 r. ustanowienie kasztelanii, w 1157 r. spalenie grodu przez cesarza Fryderyka Barbarossę. W 1173 r. na krótko stolica księstwa, od 1252 r., zhołdowanego w 1331 r. przez Koronę Czeską. Prawa miejskie w 1253 r., obejmujące także kilkadziesiąt lat wcześniej powstałą osadę na lewym brzegu (dzisiejsze centrum). Szybki rozwój w XV w., jeszcze znaczniejszy za Jagiellonów – Jana Olbrachta i Zygmunta (później zwanego Starym), rządzących księstwem na podstawie porozumienia z królem czeskim, a ich bratem – Władysławem. Do XVIII w. ważny ośrodek kulturalny, a w następnym – obfita produkcja polskich książek. Pod koniec II wojny światowej miasto przekształcone w Festung Glogau, wskutek czego ogromne zniszczenia, w tym niemal całkowicie starówki. Od końca lat 50. dynamiczne Centrum Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego z Hutą Miedzi „Głogów”, nadto duży port z nabrzeżem przeładunkowym. Odbudowany Zamek Księżąt Piastowskich na planie kwadratu z Muzeum Hutnictwa i Odlewnictwa Metali Kolorowych. W sąsiedztwie oryginalny Pomnik Dzieci Głogowa projektu D. P. Vačewa z 1979 r. w formie taranu z płaskorzeźbą dzieci na jego czole. Po drugiej stronie Odry monumentalna kolegiata z lat 1262-1460, spalona w 1945 r., od końca lat 80. w odbudowie. W tym też czasie rozpoczęto odbudowę Starego Miasta – dziś malownicze, stylizowane kamieniczki, a wśród nich ocalałe zabytki: budynek teatru z 1774 r. (przebudowa w 1840 r.), ratusza (pierwotnie gotycki, przebudowa w 1835 r.), okazałe ruiny wczesnogotyckiego kościoła św. Mikołaja z I poł. XIII w., na obrzeżu barokowy kościół Bożego Ciała i kolegium jezuickie z lat 1695-1702 projektu J. Simonettiego. Upamiętniono miejsce synagogi i pierwszego ewangelickiego Kościoła Pokoju w formie zarysu przekroju łodzi. Znaczne fragmenty murów obronnych, m.in. baszty.

GOŁKOWICE – d. wieś folwarczna w Pradolinie Głogowskiej, naprzeciw ujścia Baryczy, wzmiankowana w 1223 r. XIX-wieczne zabudowania gospodarcze folwarku wraz z ruinami pałacu. Nad Odrą fragmenty umocnień ziemno-betonowych tzw. „Rygla Odry”.

GOSŁAWICE – wieś w pradolinie Wrocławskiej kontynuująca osadnictwo od epoki brązu. W zespole podworskim klasycystyczny pałac z pocz. XIX w., w zapleczu park krajobrazowy z okazami gatunków egzotycznych.

KARÓW – niewielka wieś w widłach Odry i Baryczy, położona w Pradolinie Głogowskiej. Grodzisko z X-XII w.

KOBYLNIKI – wielodrożnicowa wieś w Pradolinie Wrocławskiej, wzmiankowana w 1327 r. Skromny dwór z pocz. XIX w., w sąsiedztwie park z rodzimym drzewostanem. Za wałem przeciwpowodziowym z resztką lasu łąkowego z wieloma drzewami o wymiarach pomnikowych: dęby, wiązy. Dość liczna konwalia majowa. Nad Odrą wysadzony bunkier z II wojny światowej.

Cdn.



Nowe-Stare Miasto w Głogowie.
Fot. Krzysztof R. Mazurski

Wrzesław Mechło

DOLINA POPRADU

Zafascynował mnie jej urok. Malownicze góry pełne różnorodnych lasów, łąk i małych uprawnych poletek. Cieniste doliny rozszemranych bystrych potoków. Stare drewniane domy i zagrody wkomponowane w naturalny pejzaż górskich zboczy. Wreszcie ludzie, czarni górale i inni mieszkający tu od lat, którzy mozolną pracą wyczarowują z gliniastej ziemi kłosa zbóż lub w pocie czoła rąbią strzeliste drzewa, tak jak to robili ich przodkowie. Niemniejszy jest codzienny trud tutejszych niedużych, ciemnookich kobiet, pracowitych i wytrwałych, zajmujących się przyrządzaniem stawy, utrzymaniem czystości i wychowaniem dzieci, nie licząc mnóstwa innych prac oraz gospodarowania – zawsze zbyt skromnym – rodzinnym budżetem. A jeszcze do tego sporo kobiet pracuje zawodowo.

Ci ludzie, twardzi – bo ziemia tu twarda, uparci – bo ciężkie życie tutaj uczy wyjątkowego uporu, nieprzystępni – jak nieprzystępne są otaczające ich góry, są jednocześnie gościnni, serdeczni i szczyrzy, ale otwierają swe serca tylko przed tymi, którzy sami najpierw tak uczynią. Ich harde charakterystyki nie raz sprawdziła historia. To tutaj, w dolinie Popradu odpierano liczne najazdy hord tatarskich na Polskę. To stąd są bohaterscy obrońcy polskiego króla Jana Kazimierza, o których pisze w „Potopie” Henryk Sienkiewicz. Wreszcie w tych górach w latach hitlerowskiej okupacji trwała wolna Polska, gdyż górale nie chylili czoła przed wyniosłymi Niemcami, tylko czynem przeciwstawili się niemieckiemu terrorowi. Partyzanci i ludzie im pomagający często płacili najwyższą cenę, tracąc życie za umiłowanie wolności i hardość wobec okrutnego okupanta. Ileż krzyży i pomników poległych uświęca tę góralską ziemię! Chylę przed nimi głowę podczas prawie każdej wędrowki po górach.

Ludzie tutaj, pracowici i pobożni, od wielu pokoleń wydzierający dzikiej przyrodzie najmniejsze skrawki lichej ziemi, aby w mozolnym trudzie uzyskać z niej choćby najmniejszy plon. Widziałem trudne polowe prace na nierównych, stromych poletkach, a nawet popracowałem przy bronowaniu koniem, żeby poczuć prawdziwy smak góralskiego chleba. A przecież wystarczy jeden większy wylew potoku lub jedna mroźna noc późną wiosną i cały trud idzie na marne i wszystko trzeba zaczynać od początku. Niejeden raz brakowało im chleba na przednówku i głód zajął w oczy. Iluż by się załamało i zostawiło to surowe, twarde życie. Z pewnością bardzo wielu, ale nie oni! Bo oni zaczynają po raz drugi, a jak trzeba, to i trzeci, aby się nie dać losowi. Na wzór Chrystusa, który upadał pod krzyżem, ale podnosił się przecież. Zresztą wiara jest w nich silna i głęboka. Nie ma rozstaju dróg bez kapliczki, nie ma domu bez świętego obrazka, nie ma człowieka, który nie ukląkłby podczas serdecznej modlitwy. Jak żywy staje mi przed oczami wiersz Jerzego Harasymowicza: „bożą się i kapliczą wierzby i topole, przychyła się do stóp ich bławatami pole, rozwidlają się drogi całe i niecałe pod skrzyżowanie ino, na tę Bożą chwałę...”. To wiara przez setki lat pozwalała tutejszym ludziom trwać w tej surowej góralskiej ojczyźnie i wytrwać pomimo rozlicznych przeciwności, klęsk i niedostatków.

„Ojczyzna to ludzie i groby” – pisał Cyprian Kamil Norwid. Tak właśnie jest. Na Pomorzu Zachodnim, gdzie mieszkam, po wojnie przybyli ludzie z różnych stron Polski, aby zasiedlić te ziemie. A więc ta ojczyzna ma pięćdziesiąt lat. Tutaj Ojczyzna trwa nieprzerwanie od wielu wieków, tutaj tkwi „sól polskiej ziemi i jej żywe serce” – jak określano ludzi, którzy zachowali tożsamość na swej ziemi przez lata wojennych zawieruch i rozbiorów, aż do odzyskania niepodległości. Tutaj przetrwał prosty polski język zwany dzisiaj gwara góralską, którym tak pięknie opisuję tę ziemię piwniczańska poetka Wanda Łomnicka-Dulak: „góry łopuscone, łąki nie kosone..., ścizki zarośnięte, chołpy zapadnięte...” Właśnie. Nie zatrzyma się czasu. Ludzie chcą żyć coraz wygodniej. Pustoszeją gór-

skie przysiółki, zarastają trawą pola. Młodzi uciekają od ciężkiej mozolnej pracy – dającej jedynie szansę na przeżycie zimy – do komfortu miejskiego życia. I to jest naturalne, nawet jeśli blichtr nowocześnieści jedynie mamy i oszukuje nas zastępując prawdziwe ludzkie przeżywanie pozorną wygodą. Czy komputerowa rzeczywistość wirtualna z trójwymiarowym obrazem, kwadrofonicznym dźwiękiem i fantastycznymi efektami specjalnymi, czy ona zastąpi rzeczywistą wędrówkę po rzeczywistych ścieżkach górskiego lasu, pełnych prawdziwych zapachów, barw i ptasich głosów? Nigdy! Czy najwspanialsze filmy wideo zastąpią prawdziwą, pełną wysiłku, potu, radości i strachu przygodę? Nigdy! Czy kolorowane, bez przerwy reklamowane komiksy Walta Disneya zastąpią „Rogasia z Doliny Roztoki” lub „Szkołę nad chmurami” Marii Kownackiej? Nigdy!

Z niepokojem i smutkiem patrzę, jak góralska młodzież daje się nabrać na krzykliwe reklamy wspaniałego, dostatniego życia w dużych miastach, gdzie wszystko jest na wyciągnięcie ręki, tylko wybierać i brać najlepsze, najnowocześniejsze, najwygodniejsze. Tylko ci młodzi ludzie jeszcze nie wiedzą, że zamknęci w czterech ścianach swoich mieszkań, biur i hal fabrycznych będą powoli stawali się coraz bardziej niewolnikami luksusowych mebli, telewizorów i komputerów oraz lśniących samochodów, cały swój czas poświęcając przedmiotom i ich zdobywaniu. Aż z hardych ludzi gór staną się tragarzami złudnego luksusu posiadania i niewolnikami rzeczy, z których już nie ma czasu korzystać. A oprócz wolności stracą to, co najważniejsze, więź z innymi ludźmi i przyrodą. Tak było w Stanach Zjednoczonych, Europie Zachodniej, Japonii... a fala tego pozornego życia, pełnego nieprawdy i nędznych substytutów, idzie do nas, aby pochłoniąć wszystkich, którzy jej ulegną. Politycy nazywają to cywilizacją!

Tam, na Zachodzie, ludzie przejrzyli już tę nieuczciwą grę, w której technika zniewala człowieka oddalając go od innych ludzi i natury. Dlatego wielu z nich pragnie wyrwać się ze swego wirtualnego dobrobytu i wrócić – choćby na chwilę, do obcowania z dziewiczą przyrodą, posłuchać szumu prawdziwych górskich potoków, śpiewu prawdziwych ptaków w lesie, poczuć podmuchy halnego wiatru i trudy górskiej wędrówki. Ci ludzie chętnie zapłacą, aby zrealizować marzenia o prostym życiu w scenerii malowniczych gór, pięknych lasów i czystych rzek. Oni pragną mieszkać z wygodami, ale bez luksusów, w drewnianej chacie, jeść proste góralskie jedzenie i podziwiać zwyczajnych ludzi: rolników, drwali i rzemieślników przy pracy. Pragną pojechać drabiniastym wozem pełnym siana, sierpem żąć trawę czy zboże na górskiej łące, spocić się przy piłowaniu drzewa i własnoręcznie ubić masło ze śmietany. A jeśli ich pobyt urozmaicią góralskie przyśpiewki – poczują się jak w rajach i chętnie zapłacą za każdą

z tych atrakcji dodatkowo. Tylko muszą wiedzieć gdzie, kiedy i za ile pieniędzy oferuje się im zgodne z naturą, piękne, prawdziwe życie. I tutaj jest szansa dla ambitnych, wytrwałych i młodych. Powstają związki gmin. Ich zadaniem jest odpowiednia promocja i reklama regionu, jego walorów i atrakcji. W przypadku doliny Popradu zadanie jest ułatwione, gdyż nie jest tutaj pięknie, tylko... przepięknie i niewiele miejsc na świecie może konkurować z tą krainą. Wiem coś o tym, bo wiele podróżowałem. Byłem marynarzem.



**Rynek Starego Sącza leżącego u wylotu dol. Popradu.
Fot. Krzysztof R. Mazurski**

Poeci rodzą się w Nowogródku... (1)

czyli o podróży do Wilna, wierszach Kresowian i miejscach pełnych tajemnic

Tytułem wstępu. Z wykształcenia jestem filologiem, przez lata trwająca sytuacja polityczna sprawiła, że wszystkie dotychczasowe podróże odbywałem bardziej na kartach książek niż w rzeczywistości. Tak więc dopiero po pięćdziesiątce mogłem pojechać na Litwę; dotychczas z Wrocławia było tam zdecydowanie dalej niż do Pragi czy Drezna. Krótki, bo zaledwie tygodniowy okres pobytu sprawił, że wielu miejsc nie zdołałem odwiedzić, o wielu jeszcze nie wiedziałem, innych nie mogłem ocenić, gdyż przyniosły ogrom wrażeń, poznawczych i emocjonalnych.

W miejscu tym chciałbym też złożyć najserdeczniejsze podziękowania i wdzięczność wszystkim tym, którzy mnie po Wilnie i Kownie oprowadzali, opowiadali i gościli.

Wizyta na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego przerosła moje najśmielsze wyobrażenia (jak wielu obawiałem się tzw. sowieckiego dziedzictwa). Od pierwszego dnia, właśnie tu, mogłem przekonać się o uroku już wrześnie litewskiej przyrody i zobaczyć prawdziwie europejskie miasto. Szczęśliwie poznałem też Litwinów kochających Polskę i Polaków rozkochanych w Litwie, szczerze sarmac-



Czytelnia Głównia Uniwersytetu Wileńskiego



Niemen pod Wilnem

kie temperamenty, a nade wszystko usłyszeć przepiękny język polski: melodyjny i staranny, słowa wypowiedane z namysłem, zapadające głęboko w pamięć i w serce. Jak więc nie pokochać Wileńszczyznę...

Uwaga ostatnia: Wilno, podobnie, jak Kraków czy Lwów, powinno stać się jednym z obowiązkowych punktów wycieczek szkół średnich. Wśród form tzw. oczekiwanej pomocy wzajemna wymiana młodzieży (obok budowy autostrad) zdaje się przynosić Polsce i Litwie, Europie i następnym pokoleniom największą korzyść.

Piramida w Rapie

Każdy, kto wyjeżdża z Żabina w gminie Banie Mazurskie (na zachód od Gołdapi), nagle zwalnia i patrzy z niedowierzaniem, widzi bowiem najprawdziwszą piramidę. Co prawda, jest to mini-piramida, ale zaskoczenie całkowite. Nie sposób pojechać dalej i nie zobaczyć, co to takiego. A historia tej budowli jest bardzo ciekawa. Otóż najpewniej na pomysł wybudowania grobowca rodzinnego w kształcie piramidy wpadł właściciel tych ziem Johan Friedrich Wilhelm von Fahrenheid. Urodzony w 1747 r., początkowo związał swoje życie z wojskiem (huzarzy), by następnie zostać radcą wojennym i służyć państwu. Jednak po pewnym czasie porzucił wszystko i zajął się tylko zarządzaniem swoimi dobrami. A jak wynika z dokumentów, robił to bardzo solidnie. Tak że cała posiadłość nie tylko rozkwitała, ale wciąż była powiększana. W pamięci ludzkiej zapisał się tym, że z własnej woli zaniechał poddaństwa. Ponieważ był on człowiekiem światłym, często podróżował. I właśnie podczas jednej z takich wypraw spotkał się z nową modą związaną z wyprawami Napoleona do Egiptu. W Paryżu, gdzie wówczas przebywał, wysłuchał wielu opowieści o piramidach. Mówiono, że budowle te mają jakieś nieokreślone, ale niezwykle właściwości. Dlatego jak tylko wrócił do domu, postanowił wybudować w swoim majątku taką piramidę. No, oczywiście nie tych rozmiarów, co oryginały, ale starał się wzorować na ich budowie i rozmiarach w pewnej skali. Ponieważ piramidy egipskie były grobowcami, postanowił uczynić tak samo. Ta mała piramida też miała być grobowcem.

Aby jednak całość była wykonana, jak należy, zatrudnił znanego architekta. Był nim sam Bertel Thorvaldsen. Piszę *sam*, bo to ten właśnie człowiek wykonał grobowiec papieża Piusa VII w Bazylice św. Piotra w Rzymie czy W. Potockiego w Katedrze Wawelskiej. Prawda, że dobrze świadczy to o jego pozycji w tamtych czasach? Nie wiadomo tylko, kto wpadł na pomysł usytuowania piramidy akurat w tym miejscu. Dzisiaj wygląda to niezłe. Do grobowca prowadzi droga na usypanej grobli. Ale wówczas było to jedno wielkie bagno. Co prawda, budowlę widać było z okien pałacu, ale mimo wszystko gęste zarośla i las czyniły to miejsce trochę „nieprzystępnym”. Sama piramida została postawiona na planie kwadratu o bokach po około 10 m, natomiast jej wysokość to 15,90 m. Stożek na zewnętrznych ścianach ma nachylenie około 70°. Ale wewnątrz ściany komory nachylone są tak, jak w piramidzie Cheopsa, pod kątem 51,52°.

Przyjmuje się, że budowę ukończono przed 1811 r., gdyż 30.12.1811 r. pochowano tu wnuczkę właściciela, Ninette, mająca zaledwie trzy lata. Pochowani tu zostali jeszcze inni członkowie rodziny. Niestety, w czasie II wojny światowej i później obiekt był niezabezpieczony jak należy i mnożyły się tu akty wandalizmu. Doszło nawet do wykradzenia jednej trumny ze zwłokami. Obecnie wszystkie otwory są zamurowane lub zakratowane. Widać jednak pozostałe jeszcze trumny ze zwłokami. Ciała pochowanych tu ludzi zmumifikowały się naturalnie. I tu właśnie dochodzimy do tych niezwykłych właściwości tego miejsca. Otóż okazuje się, że właśnie tutaj przecinają się aż trzy linie promieniowania geomantycznego. Jedna z linii biegnie od Kowna przez Wilczy Szaniec do Karlsruhe, jednego z większych miejsc mocy w Europie. A na dowód niezwykłych właściwości tego miejsca wy-



starczy popatrzeć do środka piramidy. Mimo że jesteśmy na bagnach, to w obiekcie nie ma żadnych owadów. Mało tego, przy budowli panuje całkowita cisza. Jakby nie było tutaj żadnych ptaków. Ponoć ściany piramidy dzięki swojemu nachyleniu odbijają negatywne promieniowanie, a kamienna podstawa ściąga promieniowanie pozytywne. I nie jest to tylko zwykły wymysł. Potwierdzają to badania naukowe przeprowadzone przez znawców tematu. Jednym z nich jest znany radiesteta, Leszek Matela, który opisał również tajemnice czakramu wawelskiego. Według jego badań wynika, że w miejscu tym występuje punkt o dużej koncentracji mocy Ziemi i Kosmosu. Zmierzone natężenie promieniowania wewnątrz piramidy, w skali Bovisa, wynosi aż 23 tys. jednostek. Jest to natężenie działające wybitnie stymulująco na organizm ludzki. Dla porównania: miejsca o natężeniu 18 tys. jednostek są uznawane za punkty mocy.

Jak więc widać, warto zboczyć nieco z drogi i zobaczyć tę niezwykłą budowlę. A ponieważ informacje na omawiany temat są bardzo nikłe i w wielu wypadkach sprzeczne ze sobą, zachęcam wszystkich, aby skorzystali z fachowej pomocy w postaci dwóch dziewczynek: Eweliny i Patrycji, które bardzo chętnie oprowadzą wszystkich. A robią to naprawdę w sposób bardzo oryginalny. Podają bowiem wszystkie mogące zainteresować nas informacje przemiennie, raz jedna, raz druga. Czynią to z taką klasą, że wszyscy słuchają z zaciekawieniem. A to, co powiedzą i pokażą, w zupełności wystarczy na pierwsze zetknięcie się z tym tematem.



Radostaw Jan Tokarz

Sudety za miedzą

Komisja Turystyki Górskiej oraz Koło Terenowe nr 1 Oddziału Wrocławskiego PTTK zapraszają na wycieczkę, która odbędzie się 1-3 maja br. i pod hasłem „Sudety za miedzą” poprowadzi w Góry Odrzańskie, będące wschodnią częścią Niskiego Jesionika. Oto program wycieczki „Oderské vrchy”:

1.05. – spotkanie z przewodnikiem na rogu ulic Dawida i Joannitów o godz. 4 (wyjazd autokarem o godz. 4:15), przejazd do Kozlova, przejście Kozlov – Pramen Odry – Kozlov (4 km), przejazd do Fulneku, przejście Fulnek – Kletné – Olšová – Odry (15 km + 400 m); zakwaterowanie w Hotelu*** „Dělnický dům” w Odrach.

2.05. – przejazd do Hradca nad Moravicí, zwiedzanie zamku i okolicy, przejście Hradec nad Moravicí – údolí Moravicí – Víkštejn (zwiedzanie ruin zamku) – Podhradí (18 km + 400 m), powrót do hotelu.

3.05. - przejazd do Opawy, zwiedzanie miasta i okolicy, powrót do Wrocławia ok. godz. 20.

Wpisowe wynosi 285 zł i obejmuje noclegi ze śniadaniem w hotelu***, przejazdy autokarem, ubezpieczenie NW+KL oraz obsługę przewodnicką. Zgłoszenia do 23 kwietnia przyjmuje Biuro Programowe Oddziału Wrocławskiego PTTK, 50-106 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, tel. 71 343-03-44, e-mail: biuro@pttk.wroclaw.pl. W zgłoszeniu należy podać w sposób czytelny: imię i nazwisko, nr PESEL, serię i nr dowodu tożsamości, adres zamieszkania z kodem pocztowym, tel. kontaktowy i/lub e-mail. Zgłoszenia bez ww. danych nie będą przyjmowane. O przyjęciu na wycieczkę decyduje kolejność wpłat. Wpłaty można dokonać w Biurze Oddziału (III piętro) od poniedziałku do czwartku w godz. 9-17, w piątki 9-16 lub na konto: Bank Zachodni WBK SA 1 Oddział Wrocław nr 19 1090 2398 0000 0006 0827 5667. Na dowodach wpłaty należy podać hasło „ODERSKE VRCHY”. Koszt wszystkich wstępów wyniesie ok. 100 Kč.

Zapraszamy również na wycieczki z cyklu „Zdobywamy Koronę Sudetów”. W bieżącym roku będą to: 29-30.05 – Smrk, 18-19.09. – Luž, 23-24.10. – Jagodna, Velká Deštná i Žaltman. Szczegóły na stronie www.ktg.wroclaw.pl

Bartosz Skowroński

U źródeł Strzegomki

Strzegomkę kojarzy się przede wszystkim ze Strzegomiem. Tam jest to już sporej wielkości rzeka. Gdzie jednak szukać jej źródeł?

Strzegomka wypływa w zachodniej części Gór Wałbrzyskich pod szczytem Łysicy (666 m). Te źródła uważane są za główne wypływy rzeki. Niewielkich wysięków wody można szukać na wysokości około 620-630 m n.p.m. Wysięków, bowiem trudno wskazać jakiś jeden punkt, z którego tryskałaby woda. Niżej zaś można, nadstawiając nieco uszu, usłyszeć już płynącą wodę. Zobaczenie jej gołym okiem jest jednak mocno utrudnione. Niewielką nitkę wody skutecznie maskuje trawa. W 2004 r. działacze PTTK Oddziału Ziemi Wałbrzyskiej ustawili w rejonie źródeł tablicę informacyjną. Przywiązana obecnie sznurkiem do drzewa, powyżej dobrze widocznego początku doliny, informuje m.in. o wysokości położenia źródeł (przyjęto 636 m n.p.m.) oraz o długości rzeki. Niektóre samoprzylepne literki tekstu tablicy przez te kilka lat zdążyły się już odkleić. Nadal jednak jest ona czytelna. Sama w sobie może być też w tym miejscu atrakcją. A spotkanie tu turysty graniczy z cudem.

Poniżej źródeł Strzegomka płynie skrajem lasu i łąk wyraźną, dość głęboką dolinką. Całe otoczenie źródłiskowego potoku jest podmokłe. Niżej w jej dolinie zlokalizowano niewielki zbiornik. Jak wynika z tablicy informacyjnej, jest to punkt czerpania wody. W rejonie dolnych zabudowań Gostkowa rzeczka przyjmuje swój pierwszy wyraźny dopływ. Następnie odbija w stronę Nowych Bogaczowic, płynąc dalej piękną, acz trudno dostępną dla piechura doliną. Mokradła, wysoka trawa i brak wyraźnej ścieżki nie sprzyjają jej penetracji. Dodatkowo łąki poniżej wykorzystywane są na pastwiska, często przegrodzone. Nie polecam więc zapuszczania się w ten rejon. Gdzie w bardziej przystępny sposób odnaleźć górną Strzegomkę ponownie? W samych Nowych Bogaczowicach. Choć już wzdłuż górnych zabudowań wsi płynie potok, nie jest on Strzegomką spod Łysicy, a jedynie jej sporym dopływem. Strzegomka do szosy ze Starych do Nowych Bogaczowic „dochodzi” nieco poniżej transformatora. Poznamy ją po tym, że tuż przed opisywanym miejscem, nad potokiem, po lewej stronie, patrząc od źródeł, znajduje się stroma, wyraźna skarpa. Można na nią wejść bez problemu od strony wspomnianej szosy. Jesienią czy wczesną wiosną da nam to wgląd w dolną część trudno dostępną doliny górnej Strzegomki. Latem będzie z tym gorzej. Skarpę porasta dość gęsty zagajnik. Poniżej tego miejsca Strzegomka jest już w zasadzie sporym potokiem, a w Starych Bogaczowicach – optycznie rzeką, w której wodach spotkać można dzikie kaczki.

Do źródeł dotrzeć nie jest łatwo. Nie prowadzi tam żaden szlak turystyczny. Brak również wyraźnej drogi, a na-



Początek doliny górnej Strzegomki

wet ścieżki, którą można by się do nich dostać. Jeżeli kogoś to nie przeraża, to jako najdogodniejszy punkt wyjścia do nich polecieć można Gostków. Z dolnej części wsi należy wówczas przedostać się w rejon ujścia pierwszego wyraźnego dopływu Strzegomki. To nieco poniżej wymienionego „punktu czerpania wody”. Następnie wzdłuż doliny należy pójść do góry. Początkowo lepiej iść prawym, patrząc od dołu, brzegiem, w górnej części dogodniejszy jest, patrząc od dołu, lewy brzeg. Kiedy dolina będzie się już zamykać, a po lewej stronie zobaczymy „łysą” górę i drewnianą wieżę obserwacyjną znaczy, że dotarliśmy już praktycznie na miejsce. Tam w trawie można poszukać wysięków wody. Wspomniana na początku tablica znajduje się nieco wyżej, na skraju lasu.



Tablica u źródła

Przy okazji wizyty u źródeł Strzegomki warto wejść na Łysicę oraz jej boczną kulminację – wspomnianą wyżej „łysą” górę (uwaga na kolczasty drut). Z obu rozpościera się piękny widok kilku pasm górskich, zarówno Sudetów Środkowych, jak i Zachodnich. Widoczne są stąd wzniesienia Gór Wałbrzyskich z dominującym Masywem Trójgarbu, Gór Kamiennych, Rudaw Janowickich oraz Karikonoszy. Dostrzeżemy też Kotlinę Kamiennogórską, Wzgórza Bramy Lubawskiej, a nawet Masyw Ślęży. Niebanalny widok na pewno zrekompensuje każdemu trudy dotarcia w to miejsce.

**X Jubileuszowy
Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV
"Łużyckie Wędrówki"**
w ramach turystycznej imprezy
"3 Dni - 3 Kraje - 3 Wędrówki"
odbędzie się w dniu **23.04.2010r.**

Organizator imprezy:
Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu
59-800 Lubań, ul. Łużycka 1
tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
szczegółowe informacje na stronie:
www.ptsmluban.vipserv.org/menu3dni.htm











Janusz Fuksa

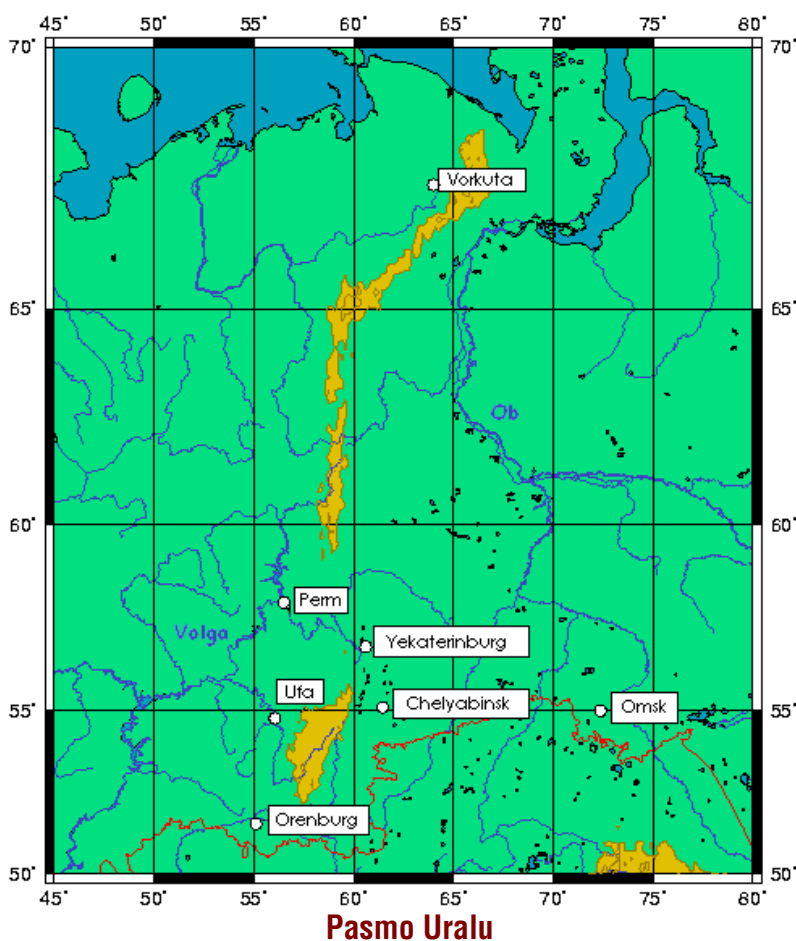
TAJGA URALU (1) – Obrazki z tajgi

Szóstka nasza idzie ścieżką wzdłuż brzegu szerokiej w tym miejscu Łożwy. Wysokie rozrosłe limby, sosny i jodły, gdzieś smukłe białe brzoźki. Na lewo wartki nurt rzeki. Podszycie stanowi trawa, oddająca naszym spodniom i obuwiu obfite zapasy wilgoci. Tajga gęstnieje, ścieżka znika. Co chwila jesteśmy zmuszeni przechodzić leżące na ziemi pnie drzew, porośnięte mchem i trawą, obchodzić olbrzymie drzewa z bajecznie poplątanymi gałęziami. Przeciśkamy się między gęsto rosnącymi świerkami, które chłoczą nas niechętnie po twarzy i rękach. Gdy to przedzieranie się zaczyna nam szczególnie dokuczać, wychodzimy nad brzeg rzeki. Teraz, po okrągłych kamieniach, idzie się o wiele łatwiej. Ale oto zakole rzeki, woda zbliża się do wysokiego brzegu, porośniętego gęstymi krzewami. Znowu zmuszeni jesteśmy zagłębić się w ciemny gąszcz. To podwójne kluczenie względem rzeki i wraz z rzeką znacznie wydłuża trasę. Późniejsze obliczenia na podstawie mapy wykazały, że przechodziliśmy dziennie w ciągu dziewięciogodzinnego marszu zaledwie około dziesięciu kilometrów w linii prostej. A może wygodniej byłoby iść w kierunku północnym, nie trzymając się kurczowo rzeki? Kierownik grupy Witia ogłasza: *Idiom po azymutu*. Sam idzie na przód, spoglądając co chwila na kompas przypięty do ręki. Milknie szum rzeki. Wchodzimy w dzikie chaszczki spokojnej i groźnej tajgi. Przekradamy się wśród niebotycznych drzew i zwalonych pni ze sterzcącymi w górę korzeniami. Omijamy bajorka pokryte czerwonym nalotem i widniejące gdzieś czarne paszeczki otworów w gruncie. Nierówna powierzchnia ziemi zmusza do ostrożności. Szczelnie przylegające do ciała ubranie powoduje oblewanie się potem. Chmury komarów przypominają, że zatrzymywać się nie należy, a jednocześnie ciężki plecak zmusza do odpoczynku co dwadzieścia minut. Nic nie wygraliśmy odchodząc od rzeki w głąb tajgi. Zbaczamy na północozachód.

Wieczorem nad brzegiem czystowodnej Łożwy, przed wysoką ścianą sosen, płonie ognisko oświetlające stojące nieopodal dwa srebrzyste namioty.

* * *

Przed nami przeszkoda w postaci szerokiej rzeki, wpadającej do Łożwy. Nie może to być Uszma, wzdłuż której wiedzie dalsza nasza trasa, bo płynie powoli i jest zamulona. Uszma jest rzeką



górką, wypływającą z Uralu. A więc musimy przejść na brzeg przeciwległy. Z Witią udaję się na zwiady. Nie znajdujemy jednak dostatecznie wąskiego miejsca, żeby można było przejść po drzewie leżącym nad korytem rzeki. Wracamy brzegiem do grupy. Dosłownie spod naszych nóg zrywają się dwie kaczki i nisko nad wodą szybują na przeciwległy brzeg. Ech, szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą strzelby od Żory. Zastajemy dziewczęta w krzakach malinowych. Dla nas tego specjału już nie wystarczy. Zresztą głowy nasze są zaprzątnięte myślami o przeprawie na drugi brzeg. Rozpoczyna się dyskusja: zrobić tratwę czy położyć wysokie drzewo. Ała, przedstawicielka słonecznego Leninabadu, doświadczona turystka z Politechniki Kijowskiej, niewiele się namyślając podciąga spodnie, bierze do ręki długi kij i nie zdejmując butów pogrąża się w wodę. Po chwili przechodzi najgłębsze miejsce rzeki. Podążamy jej śladem. Na drugim brzegu zmieniamy skarpety i wykręcamy mokre spodnie. Nasz medyk Hala (aż z Taszkientu) ordynuje po pastylce penicyliny na przeziębienie.

Zjadamy skromny obiad, składający się z kawałeczka słoniny, kilku sucharów i kilku kostek cukru. Dziwne, że wystarczy to nam. Widocznie kierownik dobrze obliczył kalorie. Po chwili sześciu turystów idzie już rzędem wzdłuż Łoźwy. Napisałbym tu: „idzie gęsiego”, gdybym nie był przekonany, że w sposobie chodzenia właśnie gęsi naśladują turystów, a nie odwrotnie.

* * *

Wstaje słoneczny, choć chłodny dzień. Dzisiaj dyżuruję z Halą-latopisem (mieszkanką Moskwy). Wypełzam więc z namiotu wcześniej. Gotujemy smaczną kaszę gryczaną z mięsem w jednym wiadrze i herbatę w drugim. Gdy pozostali turyści wychodzą na światło dzienne i, umywszy się w rzece, zasiadają do śniadania, wydarza się coś zgoła nieoczekiwanego. Z lasu wynurza się jeździec na koniu. Już po chwili koń skubie zieloną trawę nad brzegiem Łoźwy, a barczysty, rosły mężczyzna siedzi wśród nas przy ognisku i częstuje się delikatesami kuchni turystycznej. Dowiadujemy się, że Janis Pietrowicz, narodowości łotewskiej, jest obecnie mieszkańcem tajgi i pracownikiem powstającego na skraju tajgi „Elektrolasokombinatu”. Zmierza do ekspedycji kombinatu, pracującej nad Łoźwą w jej górnym biegu. Gdy pakujemy plecaki, Janis proponuje nam powiązać je i położyć na konia. Z radością przystajemy na to. Możemy teraz posuwać się znacznie szybciej.

Kroczymy odnalezioną drogą wśród sosen, jodeł i świerków, przechodzimy drobne strumyczki. Idę z Janisem, słuchając jego ciekawych opowieści o tajdze i jej mieszkańcach. Janisowi poszczęściło się kiedyś gościć w prawdziwej chacie ludzi tajgi – Mansów. Teraz opowiada o niej, wywołując u nas wielkie zaciekawienie. Ale oto koń niosący plecaki wyraźnie męczy się. Janis wybiera miejsce porośnięte soczystą trawą i zarządza postój. Po wypoczynku i popasie plecaki znowu spoczywają na koniu. Aby jednak nie przemęczać go, jeden z plecaków, ten najcięższy, nazywany przez nas „parazytem” (pasożytem), niesiemy na zmianę.

- *Pojdiom, Ogoniok.* – zwraca się delikatnie Janis do swojego konia.

Ruszamy.

* * *

Oto jesteśmy u celu podróży Janisa Pietrowicza. Stoimy nad brzegiem Łoźwy wśród zabudowań ekspedycji kombinatu. Pracuje tu kilkanaście osób. Janis rozmawia z pracownikami, my odpoczywamy i uraczamy się obiadową porcją słoniny, sucharów i cukru. W pobliżu Ogoniok skubie trawę.

Ale czas w dalszą drogę. Objuczamy się plecakami. Ze smutkiem żegnamy Janisa – dobrego, wyrozumiałego człowieka o szerokiej duszy. Rzędem ruszamy. Po chwili słyszymy tętent konia. Dogania nas Janis. Postanowił, kosztem jutrzejszego niedzielnego wypoczynku, odprowadzić nas do ujścia Uszmy.

Zapada zmrok. Stoimy w miejscu, gdzie zlewają się wody dwu górskich rzek Łoźwy i Uszmy. Musimy przedostać się na drugi brzeg Łoźwy. Janis każdego z nas wraz z plecakiem przewozi przez wodę na koniu. Wreszcie przeprawa skończona. Na wysokim cyplu wsuwającym się pomiędzy dwie rzeki znajdujemy miejsce zagospodarowane przez jakiegoś myśliwego, który spędził tu widocznie kilka tygodni. Oto daszek z kory brzoźowej, stół z ławkami, zwoje kory brzoźowej do rozpalania ogniska. Wdzięczni losowi bierzemy się do założenia biwaku. Zbieram chrust, Witia rąbie drewno, Hala-latopis rozpała ognisko, Żora struga kołki do namiotów, a Hala-medyk i Ała ustawiają namioty. Praca wre. Po kilku kwadransach siedzimy przy jasnym i gorącym ognisku (nic dziwnego – kora brzoźowa!). Uraczamy się kolacją nie mniej pyszną niż zwykle. Tej nocy upływa wiele czasu, zanim

kończą się rozmowy w namiotach, a turyści z dalekiego Kijowa, wśród których nie ma ani jednego rdzennego kijowianina, i tajożnik rodem z Łotwy zasypiają twardym snem.

Z rana zadaje Janisowi pytanie, czy nie zamierza wrócić do Łotwy.

- *Zrobisz to za rok. Kończy mi się okres przymusowego osiedlenia. Byłem tu w obozie za Stalina.* – zwierza się.

Żegnamy naszego bezinteresownego opiekuna, spotkanego w tajdze zauralskiej, który był wprawdzie z nami tylko jedną dobę, ale w pamięci pozostał na zawsze. Tak, życzliwi i uczynni są ludzie na Uralu, służą dobrą radą i pomocą nowicjuszowi, który wtargnie w ich surowy i dziewiczy kraj. Długo stoimy machając rękami, dopóki Janis Pietrowicz na koniu nie znika w tajdze na przeciwnym brzegu rzeki.

Po całodziennym przemarszu wchodzimy na wysoki brzeg rzeki i stajemy oczarowani widokiem, jaki rozpościera się przed nami. Za urwistym stokiem w dole wije się wartka Uszma, błyszcząc gdzieś w promieniach zachodzącego słońca. Na drugim brzegu ściana sosen i jodeł rozpoczyna ciemnozieloną połąć tajgi, która uchodzi w dal, przybierając coraz bardziej sine zabarwienie i kończy się majaczącym we mgle granatowym masywem szczytu Czistop (1292 m n.p.m.). Na Ural powoli opada czerwona jak krew tarcza słoneczna. Czyste różowe niebo dodaje widokowi dziwnego uroku niecodzienności i tajemniczości. Odrywamy oczy od dali i spostrzegamy wtedy, że stoimy na miękkim zielonym kobiercu mchu, poprzątkowanym czerwonymi borówkami. O lepszym miejscu na biwak nie mogliśmy nawet marzyć.

Po chwili już płonie ognisko. Oświetla od dołu otaczające nas sędziwe limby syberyjskie (zwane tu kiedrami) i sosny. Na tle jasnej tarczy księżycy widać zwisające z ich gałęzi „brody krasnali” – długie srebrzyste nitki porostów.

* * *

Dziesiąty dzień upływa od chwili, gdy weszliśmy w gąszcz tajgi zauralskiej. Dziesiąty dzień na bezludziu i bezdrożu, wśród dzikiej przyrody. Kroczymy wzdłuż brzegu bystrej górskiej rzeczki Purmy, dopływu Uszmy, w północnej części obwodu swierdłowskiego. Przechodzimy kilkaset metrów po okrągłych kamieniach, do połowy zanurzonych w wodzie, po czym za zakrętem rzeczki znowu zmuszeni jesteśmy wejść na wysoki brzeg i zagłębić się w gąszcz. Idziemy po mokrej trawie sięgającej do pasa, to znów przedzieramy się między krzewami. Po chwili przeskakujemy z jednej kępy mchu na drugą. Każdy źle wymierzony skok grozi skąpaniem się w bagnie, kępy bowiem są mokre, sprężyste. Gdy w poszukiwaniu lepszej drogi zagłębiając się w część tajgi bardziej oddaloną od rzeki, napotykamy „buriełom” (wiatrołom) – stosy poprzewracanych, poplątanych pni drzewnych. Przede mną zwalona gruba brzoza. Staję na jej pniu i noga zapada się. Nogą, jak siekierą, przepołowiłem grube drzewo! Było to bowiem próchno zawarte w korze brzozowej. Idąc przypominam sobie zasłyszana niedawno wiadomość, że gdzieś tutaj, wśród bagien i lasów, mieszka sześć rodzin rosyjskich – prawosławnych starego obrządku. Ci uciekinierzy od świata dowiedzieli się o ostatniej wojnie dopiero po jej zakończeniu. Stajemy na skraju łączki radującej wzrok grą barw. Na żółtym i czerwonym podłożu rosną gdzieś białe brzożki z zielonym listowiem. Obraz uzupełnia odbijający się w rzece błękit nieba, usiany pędzącymi stadami obłoków. Jednakże pierwszy krok na łączkę niweczy jej urok: okazuje się ona bagnem, porośniętym żółtym i czerwonym mchem.

Ale oto nowa zmiana pejzażu. Kroczymy wśród drzew iglastych po podszyciu złożonym z trawy i dorodnych czarnych jagód. Oczywiście nie rezygnujemy z okazji i uzupełniamy jagodami nasze skromne racje żywnościowe. Idący na czele myśliwy Żora przystaje, dając nam ręką znak do zatrzymania się. Z podniesioną strzelbą posuwa się naprzód. Dopiero teraz słyszę śpiew podobny do świstu i dostrzegam na gałęziach okolicznych drzew niewielkie szare ptaki, przypominające kurczęta. Rozlega się wystrzał. Na ziemię spada pierwszy ptaszek. Pozostałe niczym niezrażone siedzą na swoich miejscach. Drugi, trzeci, czwarty wystrzał! Przerwa – i znowu dwa wystrzały. Do jednego z plecaków przypinamy sześć jarząbków. Czeka nas dzisiaj smaczna kolacja. Przecież nie darmo jarząbki były przysmakiem carskich stołów.

* * *

Jesteśmy pełni wewnętrznego zadowolenia, ponieważ świeci jasne słońce i idziemy po ścieżce masyjskiej. Tak, w tajdze do szczęścia potrzeba zupełnie niewiele. Przy ścieżce spotykamy kości łośia, a na drzewie przypięte krótkie a szerokie narty, podbite łośią skórą. Na sąsiednim drzewie jest

znak złożony z kilku nacięć nożem. Odczytujemy: tutaj człowiek zabił łosia. Znaczy, że niedawno byli tu Mansowie. Jesteśmy w rejonie ich pobytu. Przyspieszamy. Ścieżka przechodzi przez Purmę na drugi jej brzeg. Próbujemy przejść po zwalonej brzozie. Pierwszy na giętkie drzewo wchodzi Żora. Gdy jest na środku rzeki, odwraca się i prosi mnie: *Janusz, sfotografuj!* – w tej chwili spada w wodę. Wyskakuje na brzeg mokry po kolana. Wśród fali śmiechu wchodzę na brzożkę, próbując przejść bez podpierania się kijem. Dochodzę do zmoczonej przez Żorę części brzozy. Jedno poślizgnięcie się i bystry nurt górskiej rzeki zaciąga mnie pod brzożę. Dopiero po kilkunastu sekundach udaje mi się uwolnić od naporu wody i wyskoczyć na brzeg. Mokre spodnie i takąż koszula zmuszają do natychmiastowego przebrania się. Nikt już nie próbuje przeprawy po brzozie bez opierania się o dno długą żerdzią.

Cdn.

.....

Tobiasz Lemański

Gandawa

Walory tego belgijskiego miasta zostały docenione przez National Geographic Traveler Magazine, który w opublikowanym w listopadzie 2008 r. rankingu najbardziej autentycznych celów podróży na trzecim miejscu sklasyfikował historyczne jej centrum. W uzasadnieniu zostało napisane, że „Gandawa posiada wiele różnorodnych i cennych zabytków – kościołów, średniowieczne zamki i muzea z bogatą kolekcją obrazów. Z daleka też widać, że mieszkańcy dbają i potrafią dobrze je zaprezentować. W przeciwieństwie do sąsiedniej Brugii, Gandawa nie przemieniła się w muzeum na świeżym powietrzu, ale jest dobrze funkcjonującym miastem, które żyje nie tylko z turystyki.” W rankingu wyprzedziły ją jedynie dolina Wachau (Austria) oraz kanał Rideau (Kanada). Gandawa okazał się lepsza od, między innymi, Yorku, Stambułu, Monachium, Aten, Kapsztadu i wielu, wielu innych.

Gandawa, czyli w języku flamandzkim Gent (czyt. *hent*), jest pod względem liczby mieszkańców trzecim co do wielkości miastem Belgii. Ponad 20% z 236 tys. mieszkańców stanowią studenci, jest więc to typowo studenckie miasto. Działa tam kilka uczelni, z czego największą jest Universiteit Gent (28 tys. studentów), a oprócz niego wyższe szkoły techniczne i zawodowe: Hogeschool Gent (15 tys.) i Arteveldehogeschool (8500), Katholieke Hogeschool Sint-Lieven (4600) oraz Hogeschool Wetenschappen en Kunst (1500). Miasto posiada 650 kawiarni, 475 restauracji, 19 muzeów, 2 średniowieczne zamki, setki kościołów oraz niezliczoną liczbę kanałów; ponadto 74 parki, 26 stawów, 20 fontann i 30 hektarów stref tylko dla pieszych (najwięcej w Belgii). Jeśli dodam do tego liczbę 250 rodzajów piw, które można tam skosztować, otrzymamy obraz miasta bardzo przyjemnego do życia miasta. Co pięć lat ma miejsce słynna wystawa-festiwal kwiatów (Floralies Gantoises). Co roku pod koniec lipca w Gandawie odbywa się jedna z największych imprez muzyczno-kulturalnych *Gentse Feesten*, która trwa dziesięć dni i w czasie której odbywa się słynny pochód *stroppendragers* (o tym dalej). Co roku w październiku odbywa się jeden z największych festiwali filmowych w Europie – *Film Festival Ghent*. Organizowana jest też parada *I Love Techno*.

Region Gandawy był zamieszkanym od czasów Celtów. Nazwa pochodzi z celtyckiego słowa *ganda*, oznaczającego miejsce zbiegu, połączenia, np. dwóch rzek (w tym przypadku ujście Leie do Skaldy). Nie ma pisemnych przekazów z czasów rzymskich, ale badania archeologiczne potwierdzają, że region ten był wtedy także zamieszkiwany. Ważnym momentem było przybycie francuskiego mnicha Amada, którego misją było nawrócenie na chrześcijaństwo tamtejszych mieszkańców. Wraz ze swoim przyjacielem Bawonem założyli oni dwa klasztory: Sint-Baafs (św. Bawona) i Sint-Pieters. Do dziś trwa spór o to, który z klasztorów powstał jako pierwszy, niestety, nie zachowały się żadne dokumenty, które mogłyby potwierdzić bez żadnych wątpliwości pierwszeństwo któregoś z nich. Oba przeżywały okres świetności za panowania cesarza Karola Wielkiego i jego następcy Ludwika Pobożnego. Opatem obu klasztorów był przez pewien czas Einhard, biograf Karola Wielkiego, który otworzył im drogę do świetności. Miasto rozrastało się stopniowo wokół klasztorów i centrum handlowego. Cięższe czasy przyszyły wraz z inwazją Wikingów, którzy dwukrotnie (w 851 i

879 r.) napadali na Gandawę, w latach 879-883 splądrowali oba klasztory, a miasto zniknęło z mapy.

Między XII a XV w. Gandawa była jednym z największych miast poza granicami Włoch, ustępując jedynie Paryżowi. Szacuje się, że w XIII-XV w. w granicach murów miejskich żyło 60-65 tys. ludzi. Około 1100 r. Gandawa otrzymała od hr. Flandrii prawo własnej rady miejskiej, co oznaczało większą niezależność i przywileje, o których zachowanie przez stulecia musieli mieszkańcy walczyć dość często (pierwsze duże powstanie miało miejsce w 1379 r.). Miasto otoczono murami i wjechać do niego można było jedynie przez cztery bramy, co ułatwiało kontrolę nad tym, kto i z czym doń wjeżdża. Rosło jego polityczne znaczenie. Gandawa otrzymała przywilej, który nakazywał każdemu kupcowi, który przepływał tu ze zbożem, do przeznaczenia 1/4 swojego ładunku do sprzedaży na pobliskim targu zbożowym (Korenmarkt). Miasto bogaciło się w bardzo szybkim tempie. W 1180 r. hr. Filip van de Elzas wybudował twierdzę Gravensteen – siedzibę hrabiów Flandrii, nie po to



jednak, aby chronić miasto, a raczej, by chronić siebie przed buntowniczymi rzemieślnikami i aby mieć gdzie więzić tych bardziej butnych. Jednak w okresie XII-XV w. największe zyski przynosiła produkcja sukna i handel nim. Zyski z tego czerpało ponad 60% rodzin. W praktyce władzę sprawowało około 40 najzamożniejszych rodzin – były one w posiadaniu wielkich majątków, a ich członkowie zasiadali w radzie miejskiej liczącej 39 przedstawicieli. Oni też budowali miejsca użyteczności publicznej: szpitale i instytucje charytatywne. W mieście powstawały także nowe klasztory: augustianów, karmelitów, dominikanów i franciszkanów. Na początku XIV w. cechy rzemieślnicze otrzymały prawo do przedstawicielstwa w radzie miejskiej, w ten sposób rządy stały się bardziej demokratyczne.

Gandawa w na początku XVI w. była miastem kultury – to tu bracia van Eyck stworzyli w 1432 r. Ołtarz Baranka Mistycznego, to tutaj tworzył Hugo van der Goes. Ale stawała się ona także ważnym ośrodkiem naukowym – poziom intelektualny wychwalał w 1517 r. sam Erazm z Rotterdamu – miasto miało nie tylko znanych uczonych, ale także wiele ośrodków, w których można było pobierać naukę: około 300 uczniów uczęszczało do gimnazjum w Geraard de Duivelsteen, dość powszechne były też prywatne lekcje. W mieście było pięciu lub sześciu aptekarzy – wszyscy posiadali dyplomy uniwersyteckie lub świadectwa zdanych egzaminów w swojej dziedzinie. Istniały też towarzystwa teatralne i kluby dla mieszczan. Gandawa w tym czasie była też jednym z najważniejszych miast na polu drukarstwa.

W takim klimacie rozkwitu magistrat podjął decyzję o budowie nowego ratusza. Na architektów wybrano mistrzów tej sztuki: Rombout Keldermansa i Domiena de Waghemaekere. Choć plany były wielkie, niestety, zabrakło finansów na dokończenie budowy, bowiem miasto zaczęło podupadać – handel suknem nie był już tak kwitnący, a do tego Karol V Habsburg, władca, którego narodziny w Gandawie w 1500 r. świętowano bardzo hucznie biciem dzwonów i wystrzałami armatnimi, w 1537 r. nałożył na swoje miasto niezwykle wysokie podatki. Miłość do władcy bardzo szybko przerodziła się w niezadowolenie, które doprowadziło do strajku urzędników i robotników. Karol V osobiście przybył do Gandawy, by ukarać mieszkańców – odebrał miastu przywileje, które pozwalały miastu zachować niezależność, a także odebrał prawo sprawowania władzy nad terenami poza murami miejskimi. Nowe prawo cesarz nazwał *Carolijnse Concessie*. Poza tym skonfiskował wszelkie dobra miejskie, dzwon Roeland – symbol niezależności, został zdjęty z dzwonnicy, a miasto musiało zapłacić ogromną karę pieniężną. Jednak na tym się nie skończyło. Władca za wszelką cenę chciał upokorzyć mieszkańców: na jego rozkaz 3.05.1540 r. 30 najznajniejszych mieszkańców, 318 członków mniejszych cechów, 50 członków cechu tkaczy musiało przemaszerować przez miasto boso, odziani jedynie w koszule. Za nimi podążało 50 największych buntowników, tzw. krzykaczy (kreesers), również boso, w białych koszulach i ze stryczkami na szyi – na znak, że za bunt przeciwko cesarzowi zasłużyli na szubienicę. Musieli oni oddać cześć cesarzowi – uklęknąć przed nim i błagać o wybaczenie. Do dziś mieszkańców Gandawy nazywa się stropendragers – tymi, którzy noszą stryczek. Do dziś także odbywa się co roku w czasie *Gentse Feesten* w centrum miasta pochód stropendragers – tyle, że dziś

przejsć ze stryczkami na szyi to zaszczyt, którego dostępują jedynie członkowie gildii Stroppendragers, bowiem wydarzenie to urosło do miana symbolu nieugiętości Gandawy.

Na początku XVII w. rozpoczęto odbudowę zniszczonych kościołów, klasztorów i kaplic, powstawały też nowe. Miastu przybyło około 20 nowych zakonów, m.in. jezuitów. Katolicyzm i życie religijne kwitło. Jedną z najbardziej znanych i zasłużonych dla miasta postaci życia religijnego był biskup Antoon Triest – wielki miłośnik i mecenas sztuki. To on zamówił u Rubensa, Van Dycka i rzeźbiarza Jerooma Duquesnoya prace, które znalazły miejsce w katedrze. Gandawa otrzymała w tym czasie nie tylko nowe dzieła sztuki, ale także perspektywy poprawy sytuacji ekonomicznej: wybudowano kanał wodny Gandawa – Brugia, który potem przedłużono do portów w Ostendzie i Dunkierce (1613-1640). Korzystało z niego około 50 tys. osób rocznie, jednym z najznamienitszych pasażerów na tej trasie był car Rosji Piotr Wielki (1717). Jednak, mimo tych zmian, praktycznie od końca XVI do połowy XVIII w. Gandawa przeżywała ekonomiczny upadek. W 1650 r. było tu już tylko około 31 tys. mieszkańców (w średniowieczu ok. 50 tys.). Dodatkowo, po zawartym w 1648 r. pokoju w Monasterze (Münster) – część pokoju westfalskiego kończącego wojnę osiemdziesięcioletnią w Niderlandach i trzydziestoletnią w Europie, Gandawa utraciła łatwy dostęp do morza. Dzięki kanałowi do Brugii udało się miastu i jego mieszkańcom przewyciężyć w części trudności – na początku XVIII w. tą drogą wyruszały statki gandawskich kopców do Chin i Indii. W połowie XVIII w., pod rządami cesarzowej Marii Teresy, Gandawa zaczęła podnosić się z upadku i powracać do świetności: osiągnęła status największego miasta w Belgii, który utrzymała aż do okresu głodu w latach 1845-1848. W 1750 r. pojawiły się w mieście cukrownie, pierwsze prawdziwe fabryki niezwiązane z sukiennictwem. Z czasem powstały inne zakłady przemysłowe, a ich właściciele stawali się coraz bogatsi, kupowali tytuły szlacheckie, wchodzili do rodzin arystokratycznych przez małżeństwa i budowali wspaniałe domy na styl francuski. W 1737 r. otwarta została, ufundowana przez przemysłowców, nowa opera przy pl. Kouter. Gandawa była także pierwszym miastem na kontynencie europejskim, gdzie dotarła rewolucja przemysłowa, a to dzięki zmechanizowaniu przemysłu tekstylnego. Zawdzięcza to Lievenowi Bauwensowi, któremu udało się przemycić z Anglii projekt maszyny przędzalniczej. Miasto odzyskiwało dawny blask. Czasy panowania Francji (1794-1814) przyniosły wzrost ekonomiczny, a w latach przynależności do Królestwa Niderlandów (1815-1830) Gandawa stała się miastem uniwersyteckim i ponownie portem morskim, dzięki wybudowaniu kanału Gent – Terneuzen (1825-1827). Wraz z rozwojem przemysłu przybywało robotników: w 1930 r. pracowało ich 35 tys. (wszystkich mieszkańców było ok. 175 tys.) w 1200 różnych fabrykach i zakładach. Nic dziwnego, że to w Gandawie powstały pierwsze w Belgii nowoczesne związki zawodowe.

A 28.09.1837 r. przyjechał do Gandawy po raz pierwszy pociąg parowy. Od 1874 r. miasto ma także tramwaje, w 1899 r. było tu już dziewięć linii (na początku tramwaje konne, od 1905 r. elektryczne). W 1913 r. Gandawa stała się gospodarzem wystawy światowej (EXPO). Została ona zorganizowana od kwietnia do października w specjalnie na tę okazję wybudowanym kompleksie. Został wtedy także wybudowany dworzec Sint-Pieters i pobliski hotel *Flandria Palace* oraz odrestaurowano wiele z zabytków. Planowano też otwarcie jednego z najsłynniejszych budynków miasta *Vooruit*, wybudowanego z inicjatywy ruchu socjalistycznego *Samenwerkende Maatschappij Vooruit*, jednak z powodu strajków do otwarcia przed EXPO nie doszło. Lata świetności Vooruit przeżywał po I wojnie światowej, jako socjalistyczny dom ludowy, gdzie robotnicy spędzali czas wolny.

Po I wojnie światowej Gandawa stawała się miastem kultury i rozrywki – w tym czasie rozpoczęto organizacje m.in. *Geentse Feesten* i jarmarku z okazji Śródpościa, które mają miejsce do chwili obecnej. W 1932 r. rozpoczęło działalność *Capitole* – największe kino w kraju, gdzie wyświetlano filmy dźwiękowe. W połowie lat 30. Gandawa miała także swoją radiostację. W 1930 r. Uniwersytet Gandawski stał się pierwszą szkołą wyższą w kraju, gdzie wykładano w jęz. niderlandzkim. W 1938 r. jeden z profesorów tego uniwersytetu – Corneille Heymans, otrzymał Nagrodę Nobla. Choć zarówno w czasie I, jak i II wojny światowej Gandawa nie ucierpiała szczególnie wskutek niemieckich bombardowań, to końcowa faza II wojny światowej przyniosła ciężkie walki o wyzwolenie miasta. W walkach 11-14.09.1944 r. brała udział polska 1 Dywizja Panc. generała Stanisława Maczka, zaś 1.01.1945 r. nad podgandawskim lotniskiem St. Denijs Westrem miała miejsce jedna z największych bitew powietrznych końca tej wojny, zwana bitwą nad Gandawą, jako wynik operacji niemieckiej *Bodenplatte*. W bitwie wzięły udział polskie dywizjony lotnicze 302, 308 i 317. Po 1950 r. nastąpiło ożywienie związane z rozbudową kanału Terneuzen i portu. Rosła liczba mieszkańców i ich zamożność. Po reformie administracyjnej w 1977 r., gdy do miasta dołączono okoliczne gminy, liczba ludności wynosiła około 250 tys.

Fot. Maciej Zacharski

Eliza Bator

XXV LAT KG „SKORUSZA”

W 2009 r. obchodziliśmy dwudziestopięciolecie powstania przy Oddziale Wrocławskim PTTK Klubu Górskiego „Skorusza”. Dwudziestu pięciu członków założycieli powołało 5.04.1984 r. klub górski. Rejestracja jego przez KTG ZG PTTK w Krakowie nastąpiła 19.04.1964 r.

Dziewięć osób członków-założycieli nadal zachowuje członkostwo Klubu: Waldemar Białecki, Witold Błaszkiw, Urszula Golanowska-Paduszyńska, Genowefa Mrówczyńska, Teresa Piasecka, Teodozja Pluta-Kochanowska, Krzysztof Rola, Marta Swiło i Antoni Towarnicki. Na Walnym Zebraniu Klubu w 1989 r. zatwierdzono nazwę „Skorusza” i znaczek Klubu przedstawiający gałązkę jarzębiny („skorusza” w gwarze podhalańskiej oznacza jarzębinę). Przez Klub przewinęło się 113 osób, a obecnie stan członków Klubu liczy 43 osoby, z czego 19 osób powyżej 20 lat. Jubileusz 25-lecia przypadł w połowie XIII kadencji władz Klubu. Prezesami byli Henryk Janiszewski, Witold Błaszkiw, Ludomir Domański, Teresa Piasecka (2 kadencje), Tadeusz Janik, Eliza Bator (5 kadencji), Witold Błaszkiw (ponownie). Obecnie funkcję prezesa pełni Janina Bednarska. W ciągu 25. lat 37 osób pełniło różne funkcje w zarządzie i Komisji Rewizyjnej.

Kolejne jubileusze świętowaliśmy: X-lecie w Ostrej Górze koło Karłowa, XV-lecie w Masywie Ślęży, XX-lecie ponownie w Ostrej Górze – tym razem uroczystość połączyliśmy z Ogólnopolskim Złotem Klubów Górskich, i XXV-lecie w Kuraszkowie. W Klubie panuje rodzinna atmosfera, m.in. dzięki licznym imprezom integracyjnym. Rok zaczynamy od wspólnego sylwestra (20 imprez, w tym 11 na szczycie Ślęży), następnie witamy Nowy Rok w górach (bliższe pasma Sudetów), „bigosowanie” – to karnawałowe spotkanie u Krystyny Młynarowicz w lutym, „grillowanie” i pieczenie ziemniaków (V i IX u Bożeny i Zdzicha Tabiszów w Radwanicach, zakończenie sezonu), XI w Sudetach i opłatek klubowy (XII w klubie Turysty O/Wr.). W imprezach tych, jak też i w programowych, uczestniczą członkowie rodzin „klubowiczów” niebędący członkami Klubu. W każdy ostatni piątek miesiąca spotykamy się w Klubie Turysty Oddziału Wrocławskiego PTTK. Na tych spotkaniach, które są ogólnodostępne, omawiamy sprawy organizacyjne i prezentujemy nasze wyprawy oraz indywidualne dokonania naszych członków.

Z kilkuset imprez klubowych w ciągu 25. lat należy wymienić najważniejsze: Treking w Himalajach i Tybecie (1985 i 1986), Andy Peruwiańskie (1987), Tatry Słowackie (1985, 1987, 1988, 1989, 2005, 2006, 2007), Mała Fatra (1988, 2007), Słowacki Raj (1985, 2006), Piryń (1986), Czeski Raj, Czeska Szwajcaria, Morawski Kras i Szumawa (1990, 1991, 1992, 1993, 2007, 2008), Dolomity (1995, 1996), Alpy Pennińskie (1996). Dzięki wyprawom międzyklubowym rozszerzyliśmy zakres działań na Gorgany i Czarnohorę (1990 - 6 osób, 2001 - 2 osoby), Krym (1991 - 9 osób, 2006 - 2 osoby), Wysokie Taury (1992 - 5, 1994 -



Kompozycja i fot. Janina Bednarska



3, 2007 - 1), Alpy Berneńskie, Pennińskie, Walijskie i Delfinatu (1994 - 3, 1998 - 10, 2003 - 2, 2005 - 2, 2007 - 1, 2009 - 3), Alpy Julijskie i Welebit (1999 - 6), Dolomity (2000 - 6), Pireneje (2000 - 6, 2001 - 10), Góry Norwegii (2001 - 2), Karyntia (2002 - 4), pd. Tyrol - Górna Adyga (2004 - 5), Abruzzy (2005 - 1), Sardinia (2006 - 1), Islandia (2008 - 3), Szkocja (2009 - 5), Sierra Nevada - Hiszpania (2009 - 1). Na tych wyprawach zawiązaliśmy wiele znajomości i przyjaźni z członkami klubów górskich z Górzowa Wlkp., Jarocina, Zielonej Góry, Poznań, Konina, Ostrowa Wlkp., Kalisza, Bydgoszczy, Warszawy i Krakowa. Dzięki temu „Skorusza” jest rozpoznawalna na dużej przestrzeni naszego kraju. W uznaniu aktywności w roku jubileuszu XXV-lecia ZG PTTK odznaczył Klub Srebrną Honorową Odznaką PTTK, a KTG ZG PTTK za zasługi dla turystyki górskiej nadała mu Medal ustanowiony z okazji 110. rocznicy Powstania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Kuraszków, 24.10.2009 r.
Fot. Janina Bednarska

KOMUNIKAT SPECJALNY nr 63

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią informuję, iż kolejna, 47. Biesiada Pokutna (XLVII BP), odbędzie się w dniach **28-30 maja 2010 r.** w czeskim mieście **Dvůr Králové nad Labem** (okres Trutnov, Králové-hradecký kraj). W ramach wpisowego organizatorzy zapewniają noclegi w internacie, posiłki od piątkowego do niedzielnego obiadu, przejazdy autokarem na trasach wycieczek programowych, znaczek i notes biesiadny, wydawnictwa regionalne oraz ubezpieczenie w PZU. Internat znajduje się w północno-zachodniej części miasta, prawie naprzeciw słynnego ZOO Safari (kierunek Nová Paka) Štefánikova ul. róg Krásnohorské ul. Zainteresowanych udziałem w spotkaniu proszę o przesłanie wpisowego **350 zł** (trzysta pięćdziesiąt zł) najpóźniej do **25 kwietnia 2010 roku** na adres:

BRACTWO KRZYŻOWCÓW PTTK 58-100 Świdnica, skrytka pocztowa nr 169

W razie potrzeby można się kontaktować ze mną telefonicznie: 74 852-52-19 lub 74 648-78-96 albo za pomocą poczty e-mail: scheer.a@wp.pl

Prezes Bractwa Krzyżowców
Andrzej Scheer

SPOTKANIE w „Jagodnej”

Jagodna to nie tylko nazwa najwyższego wzniesienia w Górach Bystrzyckich na Ziemi Kłodzkiej, należących do Sudetów Środkowych, ale i uroczego schroniska PTTK na Przełęczy Spalona, przez którą przebiegają szosy z Bystrzycy Kłodzkiej do Zieleńca i Międzylesia. Tam właśnie wyznaczaliśmy miejsce na XII (choć trochę nie tak z numeracją) Spotkanie Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku”, które odbędzie się 25-27 czerwca br. Dostać się tu łatwo – nie tylko zmotoryzowanym, ale klasycznie, czyli pieszo i rowerem. Równoległe do gór biegnie linia kolejowa (Wrocław – Kamieniec Ząbkowicki) – Kłodzko – Bystrzyca Kłodzka – Międzylesie (Praga). Wystarczy wysiąść na jakimkolwiek przystanku i ruszyć na wędrowkę. Od północy linie autobusowe z Kłodzka prowadzą do Kudowy-Zdroju. Znowu wielka ilość możliwości startu i powrotu. Natomiast na miejscu, bezpośrednio lub nieco dalej, moc atrakcji krajoznawczych: ruiny pruskiego Fortu Wilhelma, drewniane kościółki w Zalesiu, Nowej Bystrzycy i Kamienicy, torfowisko „Topielisko” zwane potocznie *Syberyjską tundrą*. A co na miejscu? Góry to płaskate wprawdzie są, ale posiadają nader gęstą sieć szlaków pieszych i rowerowych, ścieżek i duktów, co zapewnia nieskończoną wręcz ilość kombinacji wędrowkowych. Parę kroków i już jesteśmy w dolinie Dzikiej Orlicy, bodaj najpiękniejszej w polskich Sudetach. A za nią – bliźniacze do Bystrzyckich, jednak znacznie rozleglejsze Góry Orlickie. Dzięki kilku przejściom granicznym (oczywiście bez kontroli, ale z mostami, to ważne dla samochodziarzy) można bez przeszkód robić wypadki na czeską stronę. Będzie i program kulturalny: pierwszego wieczora prezentacja sylwetki królowej Marianny Orańskiej przez Naczelnego – oto bowiem zaczyna się Rok Marianny Orańskiej, ustanowiony przez Dolnośląski Sejmik Wojewódzki. Owa piękna i wspaniała osoba (Naczelnik napisał o niej popularną książkę) wybudowała m.in. schronisko na niedalekim Śnieżniku (1426 m) i rozwinęła Międzygórze. Propozycja na sobotni wieczór nie jest jeszcze gotowa, ale na pewno coś będzie. Jako że przewodnik po tych górach dawno jest wyczerpany, przygotowujemy broszurę krajoznawczą, którą każdy otrzyma. Po dokonaniu wpłaty i po osobnym zgłoszeniu zapotrzebowania postaramy się ją wcześniej wysłać. No i trochę dla przypomnienia.

Do pierwszego spotkania redakcji z czytelnikami i sympatykami tego najstarszego górskiego czasopisma doszło z inicjatywy i organizacji Naczelnego dla uczczenia X-lecia naszego magazynu. Później do organizacji włączały się poszczególne osoby, jak Juliusz Wysłouch, Zbigniew Kobylko, Stanisław Nosol i Stefan Potocki, później Andrzej Rumiński, Wojciech Radliński i Mirosława Woźniak (przy okazji – serdeczne dzięki im wszystkim!). Oto ich wykaz:

I	- schr. PTTK „Strzecha Akademicka”, Karkonosze	1996
II	- schr. PTTK „Na Turbaczu”, Gorce	1997
III	- schr. PTTK „Hala Gąsienicowa” Tatry	1998
IV	- schr. PTTK „Polana Chochołowska”, Tatry	1999
V	- Popradske Pleso, Tatry Słowackie	2000
VI	- Niedernsill, Wysokie Taury, Austria	2001
VII	- Góry Skandynawskie, Szwecja – Norwegia	2002
VIII	- Šerak, Wysoki Jesionik, Republika Czeska	2003
IX	- nieodbyty wyjazd w Pireneje (zbyt mało chętnych)	2004
	- podobnie do Albanii	2005
X	- Głuchołazy, Góry Opawskie	2008
XI	- Gołdap	2009

„Przeskoczyliśmy” z numeracją, ale tak nam było pilno do jubileuszu, że nie zauważyliśmy tego. Nie będziemy jednak zmieniać już tej numeracji, która oby była jak najwyższa!

Ilość miejsc dla nas jest dość ograniczona, jako że w tym samym czasie noclegi zarezerwowali petetekowcy z Prudnika. Będzie okazja do „integracji”, ale warto się pospieszyć z wpłatami jak na [stronie domowej „Na Szlaku”](#).

Redakcja

Juliusz Wystouch

Idzie wiosna - szykujemy kondycję i sprzęt

Zima zimie nierówna – tak zaczynał się poprzedni odcinek PORADNIKA i jeszcze dwa poprzednie. Ten początek był jak najbardziej uzasadniony, wszak takiej zimy, jak tegoroczna, dawno już nie było. Długotrwała, męcząca, mroźna i śnieżna ta zima. Wielu z nas, mimo dość trudnych warunków terenowych i klimatycznych, było zapewne aktywnych turystycznie, ale wielu „powiesiło plecaki na kołkach” w oczekiwaniu na wiosenne ciepło i suche szlaki. Ci aktywni, choćby nawet mniej niż w tzw. sezonie letnim, podtrzymywali swoją kondycję fizyczną nie pozwalając kościom, ścięgnom i wiązaniom na zastanie się i zeszywnienie. Nawet kilkogodzinne regularne spacery w soboty i niedziele nieźle przysługiwały się naszym organizmom, dzięki czemu wielu turystów może spokojnie przymierzać się do dłuższych i bardziej wytężających wypadów. Wiele osób korzystało skwapliwie z dobrych warunków w ośrodkach narciarskich w centrum i na północy Kraju. Na stokach w Bełchatowie, Bałtowie, Unisławiu, na Pięknej Górze, Wieżycy, Malcie czy w ośrodkach narciarskich Jury i Kielecczyzny codziennie roiło się od narciarzy. Minionej zimy (piszę ten tekst w połowie lutego zakładając, że w kwietniu będzie już po zimie) spotykałem w moim mieście sporo osób dość regularnie chodzących z kijkami (*nordic walking*) w śródmiejskich laskach i parkach. Co ciekawe, niemal zawsze były to osoby w wieku poprodukcyjnym (dysponujące wolnym czasem), z rzadka widywałem 30-40-latków, nawet w soboty i niedziele. A i uczestnicy Barbarkowych* Biegów Narciarskich rozegranych w styczniu i lutym to głównie 50-latkowie. Osób poniżej tego wieku było ledwo kilka wśród ponad 30 uczestników w każdym biegu. Podobnie było na styczniowym i lutymowym biegach z cyklu Top Cross. Na tych imprezach widywałem tych samych ludzi uprawiających dla swojej przyjemności biegi, kolarstwo czy narciarstwo biegowe. Jeśli byli wśród nich górscy turyści, to można mieć pewność, że w nowy sezon turystyczny wejdą niejako z marszu. To jednak mniejszość. Zwykle turyści „zapadają w zimowy sen”, z którego budzą się wraz z wiosną. Wyciągają z piwnic i garaży rowery, a z szafek turystyczne buty. I co się często okazuje? Oto po przejechaniu na rowerze paru kilometrów boli tzw. siedzenie, a po przejściu kilku kilometrów bolą łydki, uda lub stopy. Pierwsza wiosenna wycieczka z plecakiem może spowodować ból mięśni pleców, ramion, a nawet kręgosłupa. No i jak tu wybrać się na kilkudniowy wypad w góry, choćby na praktykowaną od kilku lat tzw. długą majówkę?

Przykrych doznań opisanych powyżej można było uniknąć będąc aktywnym fizycznie zimą i to nie na jakimś wyczynowym poziomie, choć zapewne ktoś, kto codziennie biega choćby pół godziny lub jeździ do pracy lub szkoły na rowerze, może bez obaw ruszyć na długie nawet wyprawy. Regularna aktyw-



Na rowerze można i zimą. Fot. autor

* Barbarka – osada leśna w granicach Torunia pełniąca funkcje edukacyjne i rekreacyjne.

ność fizyczna pozwala zachować ogólną sprawność i wytrzymałość organizmu. Niby wszyscy o tym wiedzą, ale zamiast przejść się kawałek do przystanku autobusowego lub tramwajowego lub pojechać na rowerze, wolą tkwić w ulicznych korkach siedząc w samochodzie. A zatem chcąc przygotować się do sezonu zadbajmy o swój organizm. Trzeba częściowo zrezygnować z pozornej wygody, czyli z samochodu, który nieraz zamiast ułatwiać życie tylko je komplikuje. Przecież coraz częściej więcej czasu traci się na poszukiwanie miejsca do zaparkowania niż trwa jazda. W wielu przypadkach, na dystansach 5-6 km w mieście rowerem dojedziemy szybciej niż samochodem lub autobusem miejskim. Konkurencyjny jest tylko tramwaj i to na wydzielonych „szybkich” torowiskach. Praktycznie odpada problem parkowania, rowerem można jechać „od drzwi do drzwi” i zaparkować go niemal wszędzie prawie pod ręką. Posługując się na co dzień rowerem zmuszamy nasze mięśnie do wysiłku, o oszczędności czasu i pieniędzy nie wspomnę. Powie ktoś: przecież nie da się jeździć na rowerze w garniturze do biura. Nic bardziej błędnego. To nasze przyzwyczajenia i obyczajowość jest główną przeszkodą. Warto o tym pomyśleć. Dobrym sposobem na utrzymanie organizmu w gotowości do większego wysiłku jest bieganie. Wystarczy pół godziny do godziny dziennie, wieczorkiem lub rano. Trzeba to jednak robić regularnie. Co tydzień, dwa, trzeba wybrać się na kilkugodzinną pieszą lub rowerową wycieczkę. Stopniowo zwiększać dystans i obciążenie. Zyskujemy w ten sposób większą wytrzymałość, ramiona i stopy przyzwyczajają się do ciężaru, dzięki czemu plecak na wyprawie będzie mniej dokuczał. Jeśli czas pozwala, warto choćby raz w tygodniu odwiedzić basen. Godzina pływania zapewnia najlepszą ogólnorozwojową gimnastykę ciała. Po takiej dawce wysiłku boli wszystko, ale tylko na początku, po kilku tygodniach poczujemy „przyptyw mocy”.



Na nartach dla kondycji. Fot. Antoine Naud

Wypadki za miasto posłużą także do sprawdzenia naszego podstawowego wyposażenia. Trzeba rozchodzić turystyczne buty po zimowej przerwie, przyzwycząić do nich stopy, wszak na co dzień chodzi się w innym obuwiu. Jeśli coś ma się urwać – haczyk w bucie, sznurowadło, pasek lub klamerka przy plecaku, niech się to stanie podczas takiej testowej wycieczki, a nie na górskim szlaku w najmniej odpowiedniej chwili. Jeśli właśnie kupiliśmy nowe buty, nie czekajmy z debiutem na „grań Krupówek” lub „dirttissimę Placu Dietla”, choć zapewne taką próbę wytrzymają nawet najgorsze i wadliwie wykonane buty (niezależnie od producenta). Trzeba założyć nowy nabytek, wziąć plecak ważący ok. 10 kg i wyskoczyć w teren – najpierw na 1 godz., za tydzień na 3, tydzień później na 6-8-godzinną wycieczkę. Taki trening ujawni ewentualne uciski, miejsca otarć i tym podobne niedogodności. Jeśli się pojawią, można wypróbować sposoby zapobiegania: a to zmianę sposobu wiązania, a to włożenie podpiętka (często likwiduje ucisk powyżej kostki), a to dobranie właściwego zestawu skarpet. Dwa elementy wyposażenia, oprócz wielu innych, w największym stopniu decydują o powodzeniu górskiej wyprawy: buty i plecak. Muszą pasować, być wygodne, nie powodować urazów. Dlatego zwracam na nie uwagę. •le dobrane buty i niedopasowany plecak potrafią dać w kość i zepsuć każdą wędrówkę. Tu nie ma miejsca na „partyzantkę”, stąd sugestia odbycia kilku – co najmniej trzech wycieczek próbnych, jeśli nie praktykujemy regularnych sobotnich lub niedzielnych wypadów w teren.

Co do innych ważnych przedmiotów potrzebnych w górach, to polecam wyciągnięcie ich z wczasu z szuflad i półek i zrobienie przeglądu. Może w latarce zostały baterie i wylały się – lepiej to sprawdzić niż stwierdzić nieprzydatność czołówki, gdy w ciemnym beskidzkim lesie zapadnie zmrok. Może zbyt mocno skręcone kijki „nie chcą” dać się wyregulować albo zatarły się – wszak często rzucały je wilgotne w kąty po powrocie z gór. A turystyczne naczynia? Czy na pewno zostały porządnie umyte po wyprawie, czy może wyhodowaliśmy sobie trochę penicyliny (pleśń)? Jeszcze przegląd ciuchów – polar, kurtka (sprawdzić zamki), przeciwdeszczowe spodnie. To tylko parę przykładów. W każdym razie nie należy zostawiać sprawdzania wyposażenia na pięć minut przed pakowaniem plecaka na wyjazd w góry. Pozwoli to uniknąć przykrych niespodzianek z niesprawnym sprzętem i wyposażeniem.

Bogumił R. Korzeniewski

Magiczna moc pieczętek

„Potwierdzeniem pobytu, przebytej trasy bądź zwiedzanego obiektu, jest pieczętka miejscowości, obiektu, instytucji” – takim akapitem opatrzone jest każdy regulamin zdobywania odznak. Nic więc dziwnego, że owe pieczętka stały się swego rodzaju fetyszem, czymś na miarę zdobyczy. Można się zżymać, gdy oblegający pulpit z pieczętką tłumek rozprasza uwagę pozostałych uczestników imprezy podczas narracji przewodnika, można dywagować, czy aby pogoń za pieczętkami nie przysłańia idei zdobywania odznak, tego pędu jednak nic nie powstrzyma. Czy ktoś tego chce czy nie, zbieranie pieczętek stało się trwałym, nieodłącznym elementem każdej niemal imprezy turystycznej. Mania zbieractwa, w dobrym tego słowa znaczeniu, jest takim samym hobby jak każde inne. Większość traktuje to jako wymóg regulaminowy przy zdobywaniu kolejnych stopni

odznak, ale też niemała część hobbystów zbiera je do specjalnych albumów, tak jak filateliści znaczki czy numizmatycy monety. Wówczas żyją one własnym odrębnym życiem. Przy czym dla potwierdzenia pobytu do odznak wystarczy pieczętka tekstowa, ale dla kolekcjonerów liczy się tylko pieczętka z grafiką, tym cenniejsza im ciekawsza artystycznie. Niezbyt odległe to czasy, gdy pieczętkę na mniejszych, regionalnych imprezach wykonywano *ad hoc*, przez wycięcia w zwykłej gumce technicznej (patrz: Rajd Kartofelek). Najstarszą metodą pozyskiwania pieczętek i stosowaną do dziś jest jej odcisk w tuszu. Wyróżnikiem tej metody jest jednobarwność traktowana jako wada.



Oprócz tradycyjnego sposobu powiadamiania o imprezach i przesyłania nań zgłoszeń, czyli drogą pocztową, coraz szerzej jako swoiste *signum temporis*, wykorzystywany jest internet. Wiadomość dociera szybciej, taniej i bezpieczniej. Zalety te odnoszą się również do sposobu uiszczania opłat za udział w imprezach. I rzecz znamienita, z internetu można też pozyskiwać pieczętka, i to jakie pieczętka! Zaprojektowane i wykonane komputerowym programem graficznym (tak jak logo CZAK-u w Krakowie i Złotu Piechurów w Jaworze), są jakby wyższym stopniem wtajemniczenia. Ich zaletą jest wielobarwność i precyzja w dopracowaniu najdrobniejszych szczegółów, wadą zaś, z punktu widzenia kolekcjonerów, ograniczona dostępność. Internet w turystyce pokazuje, jak szybko dokonuje się postęp i w dziedzinie nas dotyczącej.

Korzystajmy więc z jego dobrodziejstw. Do organizatorów imprez kieruję prośbę, aby publikując w internecie regulaminy i karty zgłoszeń, ich loga, z myślą o kolekcjonerach, zapisywane były w formacie JPG – „do pobrania”, a nie „tylko do odczytu”.

Wcale pokażną liczbę tej najnowocześniejszej formy kolekcjonowania pieczętek znaleźć można na stronach internetowych. Są tam zbiory hobbystów z pieczętkami tradycyjnymi, zeskanowane i przeniesione do komputera. Zbiory, choć cieka-



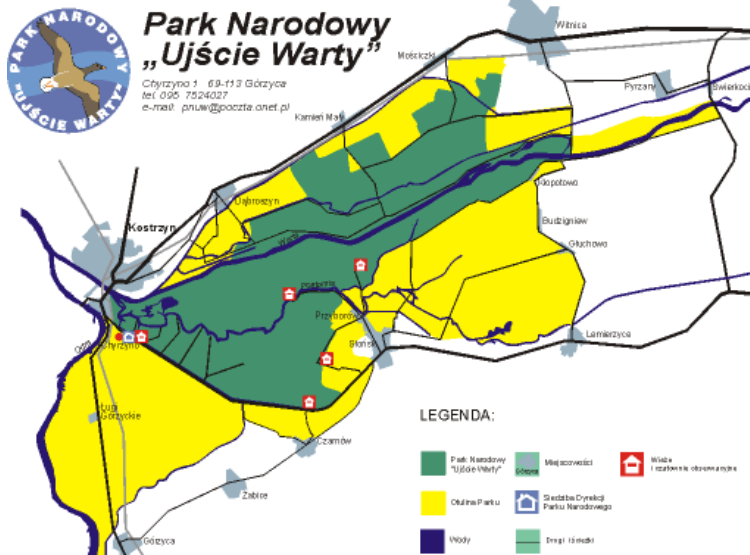
we, z przyczyn technicznych nie zawsze wiernie odwzorowywane. Np. na skanie pieczątki z zeszytu w kratkę widoczna jest też, niestety, jako zbędne tło, kratka. Wniosek stąd jeden: najcenniejszymi, najciekawszymi są i pozostaną pieczątki wirtualne, komputerowe. Kolekcjonerzy znaczków z imprez, plaketek, odznak i innych trofeów turystycznych często prezentują swoje zbiory podczas rajdów i zlotów. Niestety, rzadziej pojawiają się tam zbiory EX LIBRISÓW o tematyce turystycznej. A przecież pieczątki z EX LIBRISEM mieszczą się w tej samej konwencji, co pieczątki imprezowe, muzealne, kościelne itp., są one jakby egzemplifikacją osoby kolekcjonera. Ich motywem przewodnim jest szeroko rozumiana turystyka.



Od kilku lat w programach wielu imprez turystycznych obecne są pokazy multimedialne. Znakomitym przykładem tego jest Oddział PTTK w Jaworze, podczas organizacji 52 Ogólnopolskiego Zlotu Przewodników Turystyki Pieszej. Jednakże najdoskonalszym miejscem do prezentacji zeskanowanych pieczętek, tradycyjnych oraz tych wykonanych komputerowo i *via* laptop przeniesionych na duży ekran, jest CZAK. Postuluję, aby te miniaturowe dzieła sztuki, jakimi są pieczątki z elementami grafiki, znalazły swoje miejsce w programach przyszłych, corocznych, ogólnopolskich spotkań krajoznawców. Tam też proponuję organizowanie konkursów na najpiękniejszą pieczętkę spośród zgłoszonych przez uczestników. Można w tym wyodrębnić grupy tematyczne, np. przyrodnicze, industrialne, etnograficzne, muzealne, kulturowe, sakralne itp.

Park Narodowy Ujście Warty

Najmłodszy z 23 parków narodowych na terenie Polski, utworzony 1.07.2001 r. z połączenia rezerwatu Słońsk i części Parku Krajobrazowego Ujście Warty. Park, o powierzchni 8038 ha, obejmuje rozlewiska u ujścia Warty do Odry, wytwarzane w dużej mierze przez rzekę Postomię. Siedziba dyrekcji znajduje się w Chyrzynie koło Kostrzyna nad Odrą. Park znajduje się na terenie czterech gmin: Górzycza, Kostrzyn nad Odrą, Słońsk i Witnica. Został on założony dla ochrony zwierząt, którym groziło wyginięcie z powodu silnych zanieczyszczeń na tym obszarze. Symbolem Parku jest gęś zbożowa. Na tym terenie stwierdzono obecność 245 gatunków ptaków, w tym 160 lęgowych. Aż 26 z nich należy do gatunków ginących w skali światowej. Są to m.in. wodniczka, derkacz, rycyk, żuraw, bąk, bączek, rybitwa czarna. Tutaj znajduje się największe w Polsce zimowisko arktycznego gatunku łabędzia krzykliwego, a także około 50 bielików, które przyciąga obfitość zimujących kaczek, stanowiących ich pokarm. W pobliżu Kostrzyna, przy drodze krajowej nr 22 Kostrzyn nad Odrą – Gorzów Wlkp./Skwierzyna, mieszczą się punkty widokowe dla obserwatorów.

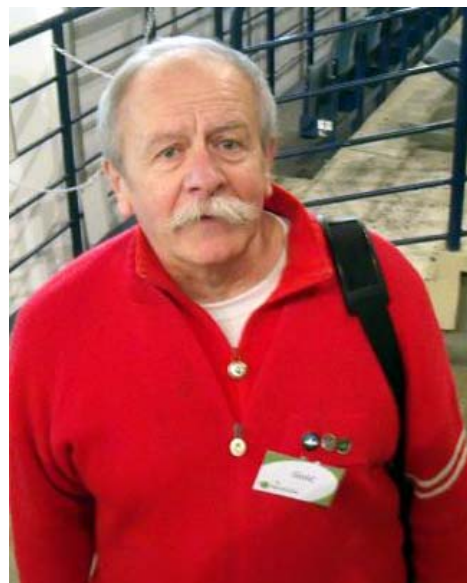


Wojciech Radliński

Honorowy – Wrocławianin, Dolnoślązak

Ubiegłoroczny XVII Walny Zjazd PTTK nadał godność Członka Honorowego PTTK 56 osobom. Wśród nich znalazł się człowiek-legenda Oddziału Wrocławskiego Towarzystwa Bronisław Zathę. Wydarzenie to stało się okazją, by skreślić kilka luźnych słów o tymże popularnym i lubianym Koledze.

Bronisław – lwowiak, wraz z rodziną trafił do Wrocławia w ramach tzw. zasiedlania Ziemi Zachodnich i Północnych. Ojciec Ossolińczyk, pracownik jakże zasłużonego dla kraju Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Zapewne te czynniki bardzo wpłynęły na osobowość Bronka. Łagodny charakter, koleżeńskość, operowanie piękną polszczyzną, duża kultura osobista, łatwość w nawiązywaniu kontaktów; z tym kapitałem cały czas godnie reprezentuje nasze Towarzystwo. Wstąpił do niego jako młody chłopak w 1959 r. Jego zainteresowania turystyczno-krajoznawcze spowodowały, że po studiach (kartografia) stawał się z roku na rok bardziej zauważalną postacią nie tylko w PTTK. W swoim macierzystym Oddziale pełnił szereg funkcji, będąc przez kilka kadencji jego prezesem. „Wrocławski”, jak się o Oddziale mówi, to od zarania petetekowskich dziejów po dzisiaj ścisła czołówka krajowa. Rozszerzając dalej ten wątek trzeba dodać: należy być rzeczywiście dobrym, by przewodzić takiej firmie.



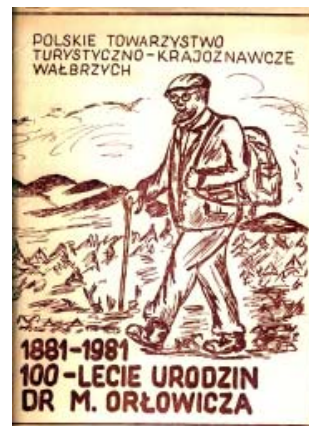
Jednak Broniek to przede wszystkim wspaniały szkoleniowiec, wykładowca i przewodnik. Nie wiadomo, czy prowadzi rejestr ilościowy swoich działań na tych niwach. Ilu przewodników wyszło spod „jego ręki”? Ile wycieczek poprowadził i ilu było na nich uczestników? Zawsze egzaminowani przez niego na wszelakich szkoleniach, u których wyczuł, że coś z nich będzie, dostawali szansę, by jednak dany egzamin zdać. Uczestnicy jego wycieczek twierdzą zgodnym chórem: Bronisław Zathę to znak firmowy doskonałego przewodnika. Z racji swej obecności w oświacie praca z młodzieżą, uczenie jej turystyki, krajoznawstwa i umiłowania Ojczyzny to jego wielka pasja. Niewielu wie, że Broniek jest zapalonym filatelistą; oprócz znaczków posiada sporą kolekcję odcisków stempli i datowników okolicznościowych. Ma także zbiór map i atlasów ze szczególnym uwzględnieniem szkolnych. Może się pochwalić zestawem przewodników turystycznych, przed- i powojennych po Wrocławiu i Dolnym Śląsku. Mimo to, niejako z racji wykształcenia, bardzo wysoko sobie ceni zbiory widokówek z mapami. Jest widocznym w pracach Towarzystwa Miłośników unikalnego Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu. Jest autorem wielu artykułów krajoznawczych, pisywał i pisze do prasy, popelniał przewodniki turystyczne. Regularnie występuje w programie radiowym. W ostatniej kadencji był Członkiem Kapituły Odznaczeń ZG PTTK. Broniek jako jeden z nielicznych petetekowców potrafi dotrzeć do rozmaitych decydentów i autorytetów. Nieskromnie mówiąc – „i ma u nich posłuch”. Świetnie orientuje się w przepisach dot. w szerokim tego znaczeniu turystyki. O wyróżnieniach, medalach itp. nie ma co pisać – tego jest naprawdę wiele.

Przyjemnie być w kręgu jego bliskich znajomych. Miło jest pisać o takim zawsze uśmiechniętym Koledze, nie trzeba przesadnie wymieniać szczegółów, nie trzeba dosładzać postaci. Warto się z nim zetknąć, porozmawiać, posłuchać, poobcować. Nie piszę dalej. Idę się z nim spotkać.

Krzysztof R. Mazurski

Marginalia do książki o Orłowiczu

Kim był Mieczysław Orłowicz, każdy wie: wielkim turystą był. Jemu to wiele lat żmudnych dociekań poświęcił autor grubaśnej książki, która ukazała się pod koniec 2009 r. Rozmowy z osobami bliskimi tej postaci i wygrzebane materiały jeszcze pełniej pozwalają poznać życie i dorobek turysty, działacza, przewodnikopisarza... I to na szerokim tle czasów, w których żył i wędrował. Kolejna porcja brązu do pomnika, który Orłowiczowi słuszenie należy. Postać bez skazy... Do końca jednak nie wszystko jest jasne i owe nowe dzieło też nie jest pełną biografią. Dlaczegoż oto ani zdania nie ma o pobycie w Karkonoszach w 1908 r., który zaowocował satyrycznym i druzgocącym opisem – sporządzonym zresztą po latach, uprawianej w tych górach turystyce? Ponad ćwierć wieku już (tak, tak, czas szybko leci) wałbrzyszanin Bartłomiej Ranowicz urządził seminarium z okazji stulecia urodzin Orłowicza, pomieszczając w zbiorze opublikowanych referatów i swój pt. „Mieczysława Orłowicza wędrowki po Sudetach”, gdzie znajduje się zresztą i rzecz autora nowej książki. Przybywa znawców historii turystyki sudeckiej, bazujących na szerokich źródłach, a nie tylko na zgryźliwych wspomnieniach Nestora, odnoszących się do nich co najmniej z rezerwą. Pod uwagę trzeba wziąć choćby dwie rzeczy: początki uprawiania turystyki w górach dzikich w porównaniu do Karkonoszy i młody wiek, sprzyjający pozie „młody i gniewny”. Tak to się Orłowiczowi utrwaliło w pamięci, że nie będąc tu przez dziesięciolecia zapisał to, co wtedy odczuwał. Szkoda, że autor nie odniósł się do tego.



Inne wątki, które powodują niedosyt, nie zmieniają oczywiście poglądu na dorobek Orłowicza, niemniej jednak intrygują. Chociażby – dlaczego kilkakrotnie zmieniał miejsce studiów? Niespokojny duch, brak koncepcji drogi życiowej? To tylko przypuszczenia, a przydałyby się jakieś dowody. Dlaczego nie nadawał się do zwykłej służby wojskowej, tylko do fortecznej? Z powodu słabego zdrowia? A śmigał po górach jak zając! Coś tu nie pasuje. I bardzo intymny wątek: dlaczego pozostał w stanie bezżennym? Kobiety stale go otaczały i nic nie wskazuje, żeby stronił od nich. Zawód miłośny, nadmierna aktywność i ruchliwość, chęć posiadania swobody ruchu? Może tak, może nie, a może jeszcze coś innego. A może miał trudny charakter, co ostatecznie odstręczało na stałe ewentualne kandydatki do nazwiska? Znakomity inny Nestor, ale turystyki i krajoznawstwa sudeckiego, druga – obok Tadeusza Stecia, legenda tych gór – Zbigniew Martynowski, nie miał o Orłowiczu najlepszego zdania. Niebezpieczne, jako że pracował z nim w Podkomisji Nazewnictwa Sudeckiego PTT. Nie będąc językoznawcą, ani nawet geografem (co niekiedy mu się przypisuje), Orłowicz był doktorem prawa. To jeszcze nie grzech, oczywiście, znacznie trudniejszy balast stanowił jego charakter. Według Martynowskiego, któremu można było wierzyć, jako że nie kierował się subiektywnymi uprzedzeniami, a wręcz przeciwnie – życzliwością i serdecznością do innych, postawę tego Nestora „ogólnopolskiego” cechował autokratyzm i upór, przekonanie o głębi własnej wiedzy i nieliczenie się z nią u innych. Stąd w nazewnictwie sudeckim pojawiły się takie dziwologię i potknięcia – mimo protestów innych członków Podkomisji, jak Modzel, Trójmorski Wierch czy Kudowa-Zdrój (niemiecka wersja nazwy zamiast historycznej, czeskiej/polskiej Chudoba). No cóż, Orłowicz miał wtedy 65 lat, wiek robi swoje, zajmowanie jednej (co najmniej) z czołowych pozycji w polskiej turystyce, także urzędowej, też może zrobiło swoje. A jeżeli te cechy ujawniały się wcześniej? Kowalik tylko delikatnie i ogólnie przepłynął z tym wątkiem. Może i słuszenie, choć czytelnika korci drażnienie go: jak to z tym było? Chyba jednak nigdy tego nie będziemy wiedzieli.

Tomasz Kowalik: *Życie dla turystyki i sportu. Mieczysław Orłowicz 1881-1959*. Warszawa: ZG PTTK 2009, 498 s.

Ryszard J. Wrzosek

Powinności krajoznawców w kształtowaniu tożsamości narodowej i regionalnej

Pomorskie Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa PTTK w Gdańsku zorganizowało 26 listopada ub. r. sesję krajoznawczą pod powyższym tytułem. Wzięli w niej udział instruktorzy krajoznawstwa, przewodnicy turystyczni, nauczyciele-opiekunowie SKKT- PTTK oraz zaproszeni goście, ponad 80 osób. Oficjalnego otwarcia sesji dokonał piszący te słowa jako przewodniczący Kolegium, który powitał zebranych, w tym dr Teresę Sadoń-Osowiecką, adiunkta na Wydziale Oceanograficzno-Geograficznym UG w Gdańsku, Paulinę Świerk, kierowniczkę Regionalnej Pracowni Krajoznawczej PTTK, kmdra Apoloniusza Łysejkę, specjalistę od latarni morskich, Mariana Hirsza, dyrektora BP WANOGA i innych krajoznawców. Na początku przekazał on informacje ZG PTTK o przygotowaniach do VI Kongresu Krajoznawstwa Polskiego, który odbędzie się w Olsztynie 10-12 września br. Hasłami wiodącymi są „Polska w europejskiej rodzinie. Przenikanie kultur, idei i wartości. Powinności krajoznawców”. Przyjęto, że Kongres będzie obradował w czterech zespołach: 1. Asymilacja i współistnienie kultur na przestrzeni dziejów w Polsce, 2. Krajoznawstwo w społeczeństwie wiedzy, 3. Przemiany krajobrazu kulturowego w Polsce. Tradycja, współczesność, przyszłość, oraz 4. Krajoznawstwo wobec wyzwań inegrującej się Europy.

Obradom sesji krajoznawczej przewodniczył piszący te słowa. Wygłoszono referaty:

1. Ryszard J. Wrzosek: *Wychowawcze aspekty krajoznawstwa i powinności krajoznawców.*
2. Teresa Sadoń-Osowiecka: *O możliwych pożytkach krajoznawstwa.*
3. Alicja Wrzosek: *Krajoznawstwa szkolne w Gdyni w 80-leciu.*
4. Anna Matuszak: *Krajoznawstwo i turystyka poprzez zdobywanie odznak turystyki kwalifikowanej – refleksje o młodzieży wędrującej.*

W drugiej części sesji wystąpienia problemowe przedstawili:

- Apoloniusz Łysejko: *Odznaka turystyczna miłośnika latarni morskich,*
- Edmund Gruchała: *Patriotyczne imprezy turystyczne na przykładzie Zespołu Szkół Chłodniczych i Elektronicznych w Gdyni,*
- Edwin Nawrocki: *Kolekcjonerstwo krajoznawcze – przykład własny,*
- Tadeusz Bury: *Wykorzystanie techniki elektronicznej dla promocji turystyki,*
- Grzegorz Litwińczuk: *Propozycje do kanonu krajoznawczego województwa pomorskiego.*

Następnie odbyła się ożywiona dyskusja, dotycząca głównie powinności krajoznawców, blasków i cieni krajoznawstwa szkolnego oraz propozycji zaktywizowania ruchu krajoznawczego, głównie w małej ojczyźnie, szkole, regionie i kraju.

Na zakończenie sesji przyjęto następujące wnioski, przedstawione przez Alicję Wrzosek:

1. W planowaniu imprez turystyczno-krajoznawczych dla młodzieży należy uwzględniać turystykę aktywną i pociągającą młodzież, krajoznawstwo.
2. W celu pozyskania nauczycieli do pracy krajoznawczej z młodzieżą, Oddziały powinny organizować szkolenia specjalistyczne dla opiekunów przy wsparciu władz szkolnych i samorządowych.
3. Każdy kierownik szkolnej wycieczki powinien posiadać uprawnienia turystyczne, przewodnika, instruktora lub pilota wycieczki.
4. Gratyfikować finansowo opiekunów SKKT PTTK, zajmujących się krajoznawstwem w szkole.
5. Oddziały PTTK powinny wzmocnić szkolenie krajoznawcze młodzieży.
6. Włączać rodziców dzieci do organizacji imprez krajoznawczych w szkole.
7. Honorować i nagradzać nauczycieli i uczniów, zajmujących się krajoznawstwem.
8. Wprowadzić ranking międzyszkolnego ruchu turystyczno-krajoznawczego.
9. Skutecznie zachęcać młodzież do udziału w krajoznawczych turniejach i konkursach ogólnopolskich, regionalnych i lokalnych.
10. Organizować wspólne imprezy turystyczno-krajoznawcze i przyrodnicze, m.in. PTTK, PTSM, LOP, ZHP i z innymi stowarzyszeniami młodzieżowymi.

Rowerem wzdłuż jeleniogórskich rzek?

Tereny wzdłuż jeleniogórskich rzek mogłyby się stać równie atrakcyjnym miejscem aktywnego wypoczynku mieszkańców Jeleniej Góry. Trasy rowerowe mogłyby zarazem zapewnić sprawną komunikację między wieloma dzielnicami. Czy można to zrealizować? Ciągi piesze i rowerowe wzdłuż rzek lub kanałów stanowią w Europie Zachodniej nieodzowny wręcz miejskiej infrastruktury. W centrum miasta pozwalają rowerzystom szybko przemieszczać się z dala od motoryzacyjnego zgiełku. Zarówno w centrum, jak i na przedmieściach, ze względu na malowniczy przebieg stanowią też popularny cel spacerów i rowerowych wycieczek. Nadrzeczne bulwary stanowią spore ułatwienie dla rowerzystów, a dla wielu mieszkańców – popularne miejsce wypoczynku także w innych polskich miastach. Jak na tym tle wypada Jelenia Góra? W mieście mamy jedną trasę rowerową z prawdziwego zdarzenia – „Dolina Bobru”, gruntownie wyremontowana, zaczyna się od Czesankowej i kończy na Perle Zachodu. Druga droga „Dolina Kamiennej”, wytyczona przez rowerzystów z Izersko-Karkonoskiego Towarzystwa Kolarsko-Narciarskiego, jest jeszcze w budowie i wymaga oznakowania. W ub. roku wykonano trzy krótkie odcinki trasy. Pierwszy: wyasfaltowano uliczkę od ul. Zaułek do Zachodniej. Poszerzono chodnik przy ul. Kasprowicza, który będzie przekształcony na pieszo-rowerowy. Wyremontowano chodnik przy d. gorzelnii przy ul. Wolności. Najgorzej jest z trzecią trasą rowerową „Dolina Wrzosówki z odgałęzieniem do Podgórzyna. Rozpoczyna się od ul. Cieplickiej, dalej piaszczystą drogą do wyremontowanego mostku przy stawie Kwadraciak przy wałach w Cieplicach i kończy się w Parku Norweskim. Droga znacznie krótsza z Sobieszowa do Cieplic i bezpieczniejsza dla rowerzystów. Jadąc możemy podziwiać całą panoramę Karkonoszy. Niestety, bardziej przypomina ona jednak trasę dla rowerów górskich niż drogę przystosowaną dla ruchu pieszych i rowerów. Swym stanem nie zachęca do wycieczek rowerowych lub spacerów. Nierówna i kamienista nawierzchnia mało kogo zachęca do korzystania z tej malowniczo położonej, ale niemal nieznannej i nieuczęszczanej trasy. Czy jest szansa, że się to zmieni? Miejskie dokumenty planistyczne przewidują w sąsiedztwie drogi szybkiego ruchu z Wrocławia na odcinku Maciejowa Zabobrze wybudowanie ścieżek rowerowych i rekreacyjnych, których atrakcyjność jest bardzo wątpliwa. Problem zagospodarowania terenów nadrzecznych Jeleniej Góry przewija się niejednokrotnie w publicznej debacie, miasto nie podejmuje w tym kierunku żadnych konkretnych działań. Udostępnienie ich pieszym i rowerzystom nie wymaga tymczasem wielkich nakładów, zwłaszcza jeśli będzie następować etapami. W pierwszej kolejności można by zrealizować drogę rowerową „Dolina Wrzosówki”: jest to krótki, ale ważny odcinek łączący Sobieszów z Cieplicami. Ul. Cieplicka jest bardzo ruchliwa i mimo odremontowania nieprzystosowana do ruchu rowerowego, bardzo wąska. W niedzielę i w soboty jest tam duże natężenie ruchu rowerowego całych rodzin z małymi dziećmi. Czy nie lepiej skierować ruch rowerowy na trasę „Dolina Wrzosówki”? Myślę, że tak! Z całą pewnością warto rozpocząć ten temat publiczną debatę.



„Na Szlaku” – miesięcznik turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK,
odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 71 343 03 44



ISSN 1230-9931

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła. Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr 19 1090 2398 0000 0006 0827 5667 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.